

Bianka Minte-Konig

"Podwójne Zauroczenie"

Dodała: Princess_Of_Darkness_

ROZDZIAŁ PIERWSZY:

Mila świruje

Impreza rozkręciła się na dobre.

Wysoki blondyn ze szkoły im. Gerharda Hauptmanna wyciągnął mnie na parkiet.

- Jesteś najfajniejszą laską na tej imprezie! - Chciał mi chyba szepnąć coś miłego do ucha? - Czy twoi rodzice są złodziejami?

Że jak proszę? Moi rodzice? Złodziejami?

- Dlaczego? - spytałam zaskoczona.

- Pewnie ukradli gwiazdy z nieba, żeby dać ci takie oczy.

Ha, ha, ha. Ale się uśmiełam. Chyba nie miał pod ręką bardziej głupawego tekstu, żeby mnie poderwać. Szkoda, bo facet robił miłe wrażenie. Ale wszyscy tacy byli! Na pierwszy rzut oka całkiem sympatyczni, a potem obrzydliwi! Wiedziałam, dlaczego trzeba się im dobrze przyjrzeć. Dopiero później się okazywało, na co chcieli rwać dziewczyny. Jak z jedną im nie poszło, to próbowali z następną. Dziewczyny się zmieniały, ale metody facetów - nie. To takie mało kreatywne! Kto wie, ile razy ten wysoki blondyn wrywał panienki na tekst o kradzieży gwiazd? Nic sobie z tego nie robiłam, na pewno nie dla mnie to wymyślił. Jeśli w ogóle on sam na to wpadł, a nie awlił z jakiegoś poradnika w czasopiśmie. Wszystko jedno. W końcu poszłam na tę imprezę, żeby trochę popflirotwać. Nie liczyłam wcale na to, że właśnie tutaj znajdę odjazdowego kochasia. Może ten blondyn był całkiem zabawny. Postanowiłam od razu go przetestować. Odrzuciłam moją burzę czarnych loków do tyłu, uśmiechnęłam się filuternie, odsłaniając zęby jak perełki, i zaczęłam go czarować:

- Znasz jeszcze więcej takich tekstów? - Musiał się poczuć mile polechtany. - Rzuć kilka!

Moje wezwanie padło na podatny grunt.

- Stop! Stop! Dość! - broniłam się przed następnymi falami komplementów. -

Wierzę, że jesteś królem podrywaczy!

Ach, to był miód dla jego duszy! Blondyn uśmiechnął się z dumą.

- A ty jesteś królową flirtu! - powiedział z protekcyjnym zachwytem i uczuciem,

że trafił w dziesiątkę.

No, sprowadzimy go z powrotem na ziemię, pomyślałam sobie. Nie można przewidzieć, kiedy oderwie się od ziemi i uleci w kosmos, i może jeszcze zderzy się z jakimś oderwonym członem rakiety.

Dobrze, będę udawać, że na niego lecę. Zachichotałam. Królowa flirtu - niezły tekst. I całkiem trafny, jeśli chodzi o dzisiejszy wieczór. Flirtując z chłopakami zachowywałam się jak motyl, który fruwa z kwiatka na kwiatek i kosztuje tu i tam troszeczkę nektaru. Jeden facet był słodszy od drugiego, ale niestety zawsze tylko na pierwszy rzut oka.

OK. Ten wysoki blondyn to też porażka. Teraz koniec! Inaczej jeszcze pomyśli, że czegoś od niego chce. Tacy są wszyscy chłopcy. Uśmiechniesz się do nich niezobowinująco, a oni traktują to jak licencję na podrywanie! O rany, jak on mnie już teraz ścisnął w tańcu! Najwyższy czas, żeby spadał. W jego ramionach czułam się coraz bardziej nieswojo i nie mogłam uniknąć tego, że moje ruchy stawały się po prostu sztywne. Wszystko we mnie sprzeciwiało się natarczywości tego typka. Jak się go szybko pozbyć?

Nie jestem osobą, która długo się zastanawia: jeść czy zostawić. To moja dewiza. W tym wypadku - zostawić. Ale oczywiście nie na środku parkietu. Tak nie wypada. To nie robi dobrego wrażenia. Kobieta zawsze powinna mieć klasę. Rozejrzałam się za przyjaciółkami. Hanna rozpływała się w objęciach naszego gospodarza Branka, a po Kati nie było śladu. Zniknęła gdzieś przy bufecie. Miałam nadzieję, że z długo oczekiwanym Romeem. Całe to zamieszanie z miłosnymi zaklęciami i magicznymi sztuczkami powoli stawało się denerwujące. Przede wszystkim dlatego, że dotychczas nie udało się jej wyczarować księcia z bajki, a ja jako wierna przyjaciółka mogłam zrezygnować z członkostwa w klubie czarownic dopiero wtedy, gdy nasze starania zakończą się sukcesem. Na Belzebuba!

- Może poszlibyśmy jutro razem do kina? - szepnął mi słodko do ucha wysoki blondyn.

Nieeee, broń Boże! Tylko nie kino. Mogłam sobie wyobrazić, co by się działo. Podczas reklamy jego ramię wylądowałoby na oparciu mojego fotela, podczas filmu - na moim ramieniu, jego wilgotna dłoń szukałaby moich, również zimnych i wilgotnych, palców albo nawet sięgnęłaby kolana lub uda. Jeśli byłby odważny, może spróbowałby mnie objąć, położyć głowę na moim ramieniu albo przynajmniej wtulić twarz w moje włosy a podczas happy endu poczułabym na policzku jego gorący oddech. Dowiedziałabym się, czy na kolację jadł gyrosa czy hamburgera i kompletnie straciłabym dobry nastrój. Do kina idę obejrzeć film, a nie po to, żeby ktoś mnie obmacywał. Koniec. W tej kwestii nawet wysoki blondyn o uścisku kombinerek nic nie zmieni.

W obliczu tej prawdy powiedziałam, stawiając lekki opór:

- Jutro nie mam czasu.
- No to pojutrze.
- Pojutrze też nie mogę.
- A popojutrze?
- Nie chodzę z obcymi chłopakami do kina. Mam taką zasadę.
- O! - zatkąło go. - Ze mną też nie?
- Jasne, że nie. Czy ja cię znam? Chyba że z poprzedniego życia? W tym jak na razie nia miałam przyjemności cię poznać.

Przestał tańczyć, zwolnił uścisk i spojrzał na mnie zdziwiony:

- Słuchaj no, czy ty sobie ze mnie kpisz?
- Broń Boże! Skąd ci to przyszło do głowy?
- To, co powiedziałaś, wcale nie było odjazdowe!

- Ale ty jesteś odjazdowy, co? - odparowałam.
- A nie? - spytał zaniepokojony, bo chyba żadna dziewczyna tak mu nie przygadała.
- Nieee! - rąbnęłam zdecydowanie. - To wcale nie było odjazdowe. Takimi wyuczonymi tekstami nie zrobisz na mnie wrażenia. Musiałoby to być bardziej twórcze.

W tym momencie uraziłam jego dumę. Facet to facet, istota strasznie wrażliwa! Zaraz mi coś odpali.

- No a ty wcale nie jesteś taka ładna, żeby się człowiek musiał dla ciebie intelektualnie wysilać! Bardziej podobają mi się fajne blondynki. Cześć!

I już go nie było. O kurczę! Pokazał, jakim jest mach! Dobrze, że się z nim nie umówiłam do kina. Jasne zasady czasem bardzo się przydają.

Poszłam do lady z napojami i przyniosłam sobie colę. Branko zorganizował naprawdę fajną imprezę w ogrodzie. Bardzo mi się jednak nie podobało, że zagarnął moją przyjaciółkę Hannę całkowicie dla siebie. Była z nim od naszego wypadu na narty i miała coraz mniej czasu dla Kati i dla mnie. To potwierdzało moją teorię, że chłopcy szkodzą prawdziwej babskiej przyjaźni.

Z drugiej strony muszę przyznać, że Branko naprawdę o nią zabiegał. Te wszystkie anonimowe SMS-y... Chłopak naprawdę był kreatywny! Kto wie, czy moje serce też by się przy nim nie rozplynęło!

Miła! - wezwałam się do porządku. To facet twojej przyjaciółki! Nie ma nic do szukania w twoich myślach, a w takich pożądlivych to już na pewno! Westchnęłam. Świadoma swojej winy wychyliłam colę i sfrustrowana walnęłam szklankę na ladę. Faceci to niepotrzebny balast - wypad z mojej głowy!

Powlokłam się na drugą stronę do bufetu, w nadziei, że spotkam tam Kati, co oczywiście było wariackim pomysłem, bo przecież zaordynowała sobie miłosną dietę i na pewno omijała szerokim łukiem te wszystkie pyszności. No dobrze, ja nie byłam na diecie, mogłam więc sobie na pocieszenie naładować kopiasty talerz jedzenia. Wszystko wyglądało tak apetycznie! Usiadłam sama przy stole i zaczęłam z przyjemnością wsuwać te delikatesy.

Chrupiąca sałata lodowa z amerykańskim dressingiem, pikantne kawałki pizzy, wielkie oliwki i ostre papryczki pepperoni. Ha, ale paliły w gardle! Zaraz zacznę zionąć ogniem, pomyślałam sobie, uśmiechając się w duchu. Szkoda, że nikt nie chce na to patrzeć.

Jeszcze raz rozejrzałam się za moimi przyjaciółkami.

Co tu się, do diabła działo? Nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Czy to nie Tobie obściskuje się z małą brunetką? I nie ma przy tym nawet czerwonych uszu! Coś takiego! Ona była najwyżej w siódmej klasie! Nie pomyślałabym nigdy, że leci na takie małe dziewczynki. W każdym razie biorąc pod uwagę jego chroniczną nieśmiałość, to było chyba najłepsze dla niego. Pewnie czuł ogromną przewagę, przed nami zawsze uciekał. Ach, oni wszyscy są tacy sami, ci faceci. Czy Kati też go widziała? Przecież chciała go dzisiaj zdobyć. Czyżby zostawiła go bez włki jakiejś siódmoklasistce? Czy nie miała wypróbować na nim jakichś miłosnych kropli? Wyglądało na to, że czarodziejska sztuczka znowu nie wyszła. Musiałam znaleźć Kati, zanim z rozpczy popęlni jakieś głupstwo. Zawsze była impulsywna, kierowała się uczuciami i intuicją. Jak zobaczy Tobiego z inną, na pewno sprawi jej to ból. Gdzie ona się podziewa? Przepychałam się przez kolorowe towarzystwo.

A potem ją zobaczyłam.

O kurczę! Spojrzałam jeszcze raz, ale nic się nie zmieniło. Kati stała częściowo zakryta przez krzak, w dość jednoznacznej pozycji. Z kim ona się tam, do diabła, obściskowała, skoro Tobie miał inną? Podkrađłam się bliżej. Ach, nieee! Florian! Jej tłusty kuzyn, któremu miała za złe nawet to, że uratował jej życie... A teraz coś

takiego!

No, muszę natychmiast opowiedzieć o tym Hannie.

Ale ona robiła właśnie to samo z Brankiem! Do licha, czy każdy musiał się tu z kimś całować?

Cociaż właściwie nie chciałam mieć żadnego faceta, poczułam się jak panienka, która podciera ściany, i niechcący wymusnęło mi się:

- A kto mnie pocałuje?

- Może ja? - powiedział za mną głos, który wydał mi się znajomy. Jednocześnie od tyłu zakradła się czyjaś ręka. Odwróciłam się szybko.

- Markus!

Tan, którego nie cierpiałam najbardziej ze wszystkich chłopaków w mojej klasie, musiał mnie podsłuchiwać właśnie w tym momencie. Nie mogłam sobie narobić większego obciachu!

- Puść mnie natychmiast! - rzuciłam ostro.

- Myślałam, że czekasz na całusa?

- Ale na pewno nie twojego?

- A dlaczego nie? - zabrzmiało to jak głos wielkiego, złego wilka z bajki o Czerwonym Kapturku. - Wiesz przecież, że jestem jednym z twoich cichych wielbicieli.

- Tak? - zdziwiłam się. - Niby od kiedy? Myślałam, że lecisz na małe rude.

Markus uśmiechnął się beczelnie i jego ciemnobrązowe oczy zaczęły dziwnie świecić.

- No to się myliłaś. Przy wyborze dziewczyny nie kireuję się kolorem włosów.

- Nie?

Byłam kompletnie zaskoczona. Nasz klasowy macho słynął z tego, że zewnętrzne walory dziewczyn były dla niego ważniejsze niż duchowe.

- A czym?

Tylko nie mów, że charakterem, pomyślałam, nawet w moim obecnym stanie w to nie uwierzę.

- No, ich charakterem - stwierdził, nie zważając na mój monolog wewnętrzny. -

Tym, czy mają serce i coś w głowie.

- ... w głowie... aha... - wydobyłam z siebie i próbowałam potraktować całą sytuację jako złudzenie.

Przecież ten chłopak nie mógł mówić ani nawet myśleć poważnie. Markus oceniał dziewczyny według serca i rozumu?! Aż mną wstrząsnęło. Czy inflacja pojęć była posunięta tak daleko, że ktoś taki jak on mógł nimi zonglować jak artysta cyrkowy maczugami? Prawie mnie to powaliło.

Podczas tej wymiany zdań udało mi się chociaż uwolnić z jego uścisku. Spoglądałam na niego wstrząśnięta. Robi sobie jaja, pomyślałam, kpi sobie ze mnie. Milu, bądź czujna!

Zaczęłam się jakoś zbierać do kupy.

- Odkryłeś te wartości we mnie? - powiedziałam. - I dlatego chcesz mnie pocałować?

Uśmiech na jego ładnej, ale z lekka aroganckiej buźce zrobił się jeszcze szerszy.

- Nie, to nie ma żadnego związku z tobą. Raz zrobiłem wyjątek. Z czystego współczucia. Powiedziałaś to tak, jakbyś miała się zaraz utopić, a ja należę po prostu do ratowników z licencją na całowanie!

Zanim mogłam się przed nim obronić, nachylił się i cmoknął mnie w usta!

- To był pierwszy stopień - zwykła reanimacja! Jeśli jeszcze będziesz miała taką potrzebę, zwróć się do mnie w zaufaniu.

I już go nie było. A ja stałam kompletnie skołowana. Czulałam się tak, jakby mnie

ktoś właśnie wyciągnął z wody... a jego całus płonął na moich wargach.

- Ekstra impreza! - zachwyciła się następnego ranka Kati, kiedy spotkałyśmy się przed lekcjami na szkolnym podwórku.

- Wydaje się, że wszystko poszło po twojej myśli - powiedziałam z dwuznacznym uśmiechem. - Chociaż... - znacząco zawiesiłam głos - ...obiekt twojego pożądania sprawił mnie w zdziwienie. Czy facet, z którym się ścisakałaś, to naprawdę był Florian?

Kati trochę się zaczerwieniła. Słaby uśmiech świadczący o poczuciu winy zdradzał jej duchowy stan. Po mojej przyjaciółce zawsze było widać, co się dzieje z jej uczuciami.

- Nieee... tak... zgadza się... teraz z nim jestem.

- O, nie tylko się obściskiwaliście! - udałam zdziwioną. - Nawet jesteście ze sobą! Popatrz, popatrz! Tłusty kuzyn okazuje się być długo wyczekiwany Romeem!

To było bezczelne. W każdym razie Kati nie była niewrażliwa na moje docinki, chociaż nie miały być złośliwe.

Zrobiła się jeszcze bardziej czerwona i powiedziała zawstydzona:

- Tak naprawdę to on wcale nie jest tłusty, ma tylko masywną budowę ciała i jeszcze z tego wyrosnie...

Ach, coś takiego! Masywna budowa ciała! Wcale nie tłuszcz! Dobrze, że i do niej powoli to dotarło. Przypomniałam sobie, że z Hanną od tygodni mówiłyśmy to samo, bo Florian był naprawdę fajny. Mnie nie musiała tego wyjaśniać. To przecież ona nie mogła go znieść! A teraz taka przemiana! No tak, kiedy się patrzy oczami zakochanego, każde kaczątko jest łabędziem i każdy kuzyn przy kości, jak widać, księciem z bajki.

W wypadku Markusa, nie pomaga nawet takie czułe spojrzenie, pomyślałam, kiedy przeciął nam drogę przed szkolną bramą i posłał mi buziaczka. Macho to zawsze macho!

Kiedy weszłyśmy do klasy, zbliżyła się do nas podenerwowana Hanna. Była przewodniczącą klasy i dlatego miała lepsze informacje na tematy szkolne niż my.

- Dostaniemy nową nauczycielkę! Niemieckiego i biologii. Bo pani Kempinski-nie-z-rodu-hotelarzy idzie na urlop macierzyński! - Ta informacja po prostu się z niej wyrwała.

- Na urlop macierzyński?

- To znaczy, że jest w ciąży?

- No chyba! - wtrąciła się Vanessa.

Ta głupia krowa zawsze musi się wszędzie wpakować z kopytami. Kto ją o cokolwiek pytał?!

Zignorowałam ją i wzięłam się do wyciągania z Hanny reszty informacji:

- Sądysz, że oczekuje dziecka już wkrótce? Dlaczego nieczego nie zauważyłyśmy?

Zaczęłam się gorączkowo zastanawiać. Jasne, teraz, kiedy już o tym wiedziałam, uświadomiłam sobie, że nasza wychowawczyni się zmieniła. Ostatnio się zaokrągliła i czasami robiłyśmy jakieś dziwne uwagi na temat jej luźnych ubrań. Tak, mówiłyśmy nawet, że ubiera się jak kobieta w zaawansowanej ciąży! Ale kto by pomyślał, że tak jest naprawdę!

- Wyszła za męża? - chciała się dowiedzieć Kati.

- Neeee, o ile wiem, to nie.

- No to dlaczego jest w ciąży?

Święta niewinności!

- Żeby zajść w ciążę, nie trzeba od razu wychodzić za męża! - teraz jeszcze Markus musiał dorzucić swoje trzy grosze.

- Ale kto jest ojcem? - dociekałam.

- No zastanów się, flirt shop... - podpowiadała Hanna. - Kati postawiła im karty, a

ja sporządziłam horoskop partnerski.

- Masz na myśli... panią Kempinski i Old MacDonalda? - nie mogłam zebrać myśli.

- Jasne! - powiedziała triumfalnie Hanna. - I my ich ze sobą zeswatałyśmy!

- Kto tu kogo wyswatał? - spytał jakiś niski, ale przyjemny głos za nami.

Szybko się odwróciłyśmy. W drzwiach stał nieznajomy, dość przystojny facet i przyglądał nam się z zainteresowaniem. Oceeniłam go na dwunastą, trzynastą klasę.

- Na naszej ostatniej szkolnej imprezie wyswatałyśmy nauczycielkę niemieckiego z nauczycielem muzyki! - pochwaliłam się sukcesem flirt shopu. - a teraz ona jest w ciąży!

- O! - powiedział i trochę się zaczerwienił. - To znaczy, że jest tu niebezpiecznie!

Słodki, pomyślałam i postanowiłam go jeszcze trochę podrażnić.

- I to bez ślubu! Tak po prostu! - prowokowałam go.

Typek uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Ale na pewno wezmą ślub!

- Dlaczego? - spytałam zadziornie. - Kobieta nie musi przecież wychodzić za mąż tylko dlatego, że oczekuje dziecka! Moja mama też samotnie wychowuje dziecko i, jak widać po mnie, całkiem dobrze jej to wychodzi!

Wszyscy zarzeliśmy. Facet śmiał się z nami i sprawiał teraz wrażenie wyluzowanego. Już nie był zarumieniony, tylko raczej blady. Ale wyglądał naprawdę całkiem nieźle. Muszę go sobie zapamiętać.

Wszedł do klasy, podszedł ambitnie do biurka nauczycielskiego i położył tam swój plecak.

Czy to był nowy przewodniczący szkoły? Na pewno chciał nam coś opowiedzieć o najbliższym posiedzeniu rady uczniów.

Otworzył plecak i zaczął w nim grzebać.

Potem wyjął notatnik i usiadł przed nami na stole nauczycielskim.

- No to żeby nie przedłużać. Jestem nowym nauczycielem. Będę zastępował panią Kempinski. Właściwie sama chciała mnie przedstawić, ale dzisiaj niezbyt dobrze się czuje. Przyczyna tego stanu jest ogólnie znana i, ajk zrozumiałem, ma swoje korzenie w tej klasie.

Ach, ty kudłata świnko morska! Znowu coś zmalowałam swoim niewyparzonym pyskiem. Fajne wejście u nowego nauczyciela! Niech ktoś mnie złapie, bo chyba zaraz stracę przytomność!!!

To było nie fair! Co za los! Taki słodki facet nie mógł być przecież nauczycielem! Był o wiele za młody. I dlaczego właściwie nauczyciel? Czy nie mieliśmy dostać na zastępstwo nauczycielki?

- Dlaczego to jest mężczyzna, a nie kobita? - syknęłam do Hanny, która w końcu była źródłem tej nieprawdziwej informacji.

- To jest uwarunkowanie genetyczne - nadeszła odpowiedź ze strony biurka nauczycielskiego. - W biologii istnieje potrzeba nadrobienia braków w stosunku do matek z powodzeniem samotnie wychowujących potomstwo.

Teraz nadeszła moja kolej, żeby się zaczerwienić. O kurczę, Miła! Co się z tobą dzieje? Odpal mu coś! Nauczyciel czy nie...

- Być może - przyznałam mu rację, żeby zaraz potem zaatakować: - ale pan jest ekspertem. Może by tak udzielił mi pan korepetycji?

Znowu wszyscy zarzeli, a Hanna szepnęła do mnie:

- Super, masz go!

Albo i nie. Nie wydawał się facetem, który upadł na głowę, a już na pewno był wyszczekany.

- Możemy o tym pogadać - powiedział luźno. - Co proponujesz w zamian?

- W zamian?

- No tak, mnie też przydałby się korepetycje na temat waszej klasy, was samych, waszych mocnych i słabych stron....

Hanna od razu się rozochociła, chociaż nikt się do niej nie zwrócił.

- Jestem przewodniczącą kalsy - zawołała. - Chętnie udzielę panu potrzebnych informacji!

No, mogłam sobie to wyobrazić. Ale nie ze mną te numery! W końcu miała swojego Branka!

- Zabierz od niego te łapy! - syknęłam do niej. - Jest mój!

Zabrzmiało to dość ostro, bo spojrzała na mnie zaskoczona.

- Odbiło ci?! - szepnęła, z trudem ukrywając złość. - To nauczyciel!

- Na zastępstwie!

- To to samo! Nie można kręcić z nauczycielami!

Nie można kręcić z nauczycielami! Też coś! Jeszcze zobaczymy!

- Dziękuję - nauczyciel zwrócił się właśnie do Hanny - to bardzo uprzejma propozycja. Mówiłaś, że jak masz na imię?

- Nic nie mówiła! - palnęłam. - Ale ma na imię Hanna.

- Ach, Hanna. - Uśmiechnął się, pokazując olśniewająco białe zęby. - Ładne imię, pasuje do ciebie.

Potem popatrzył na mnie swoimi niesamowicie błękitnymi oczami.

- A jak ma na imię nasza mała swatka?

Ziemio, rozstap się! Pochłoń mnie, zanim będę musiała wyluchać śmiechy Markusa i jego bandy! Czy ten facet oszalał, żeby tak mnie stawiać na świeczniku? Chciałabym stracić przytomność!

- Ma na imię Mila - odpowiedziała zamiast mnie Vanessa. - A ja jestem Vanessa i jeżdżę konno. Na turniejach!

Koń by się uśmieł, pomyślałam sobie. Dlaczego ta głupia koza pęgała się znowu na pierwszy plan i co miała znaczyć ta głupia gadka o jeździe konnej? Kogo to interesuje?

Jak widać - nowego nauczyciela, bo skwitował to zbyt przyjaźnie, jak na mój gust:

- To pasjonujące. Przy okazji musisz na lekcji biologii podzielić się z nami swoją wiedzą fachową!

Wiedzą fachową? Czy on się dobrze czuje? Wszystko, co Vanessa mogła wnieść, to ona sama. Jednak nie przepuszczała żadnej szansy, żeby się pokazać.

Potem nasz nauczyciel stażysta sam się przedstawił. Nazywał się Pit Winter, więc od razu nadałam mu ksywkę Piwi.

Piwi był naprawdę zadziwiający. Rozmawiał z nami, poruszał się, śmiał tak, jak nie robili tego nasi dotychczasowi nauczyciele. Jasne, zdarzali się też odjazdowi i wyluzowani, wysportowani, śmieszni i ironiczni, mądrzy i z poczuciem humoru, ale żaden z nich nie łączył wszystkich tych cech w jednej osobie... i nie był taki... taki... młody. Nasze grono pedagogiczne było w porównaniu do Piwiego krótko przed emeryturą. Nawet pani Kempinski, kobieta w ciąży, była po czterdziestce, a Old MacDonald, przyszły ojciec, reprezentował pokolenie '68. Naz stażysta mógłby spokojnie być ich synem! Trzeba to było sobie wyobrazić!!!

Uśmiechnęłam się sama do siebie.

Od razu to zauważył.

- No, Milu, z czego się tak cieszysz? Myślisz nad jakąś kąśliwą uwagą?

Umrę! Naprawdę, myślałam, że umrę ze szczęścia! Kąśliwa uwaga! Ale słodko to zabrzmiało! Właśnie tak, jakby leciał na kąśliwe uwagi!

Vanessa rzucił mi zabójcze spojrzenie - usłyszała tę uprzejmość w jego głosie. Uśmiechnęłam się do niej ironicznie. To dla mnie był miły, a nie dla niej, amazonki z turnieju. Nie odpowiadały mu takie kozy. Fe!

- Postaram się szybko zapamiętać wasze imiona. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z

planem, poprowadzę najbliższe lekcje za panią Kempinski. Kiedy pójdzie na urlop macierzyński, przejmę waszą klasę. Mam nadzieję, że się dogadamy.

- Czy jesteśmy pana pierwszą klasą? - spytała Hanna.

Pokręcił głową.

- Nie, nie jesteście też jedyną. Regularnie uczę w starszych klasach. To tylko taka ekspresowa robota. Mam nadzieję, że wykonam ją ku zadowoleniu nas wszystkich. Pod koniec roku szkolnego skończę staż.

Jai on skromny! To całkiem niezwykle jak na istotę męską o dość atrakcyjnym wyglądzie. Mój wzrok prześlizgnął się na Markusa i poczułam, jak jego wczorajszy całus pali moje wargi. U nas atrakcyjni faceci zwykle nie cechowali się skromnością!

- A kto pojedzie teraz z nami na wycieczkę, jak pani Kempinski będzie miała dziecko? Przecież nie zostawi tak od razu małego?

- A może by tak Karzelek Titelitury? - Markus rzucił naprawdę załamującą propozycję, co wywołało ogólny jęk. Karzełka Titelitury, naszego nauczyciela matematyki, nikt nie mógł ścierpieć, no, może oprócz niezwykle uzdolnionej matematycznie Vanessy. Prawdopodobnie z powodu łączącego ich zarozumiałstwa!

- Kolego chyba nie jest szczególnie lubiany w klasie - Piwi od razu wyciągnął odpowiednie wnioski.

- Nielubiany? - wymknęło mi się. - Jest zniechęcony!

O kurczę! Czy ja już kompletnie zwariowałam?

- Wydajesz się niezwykle emocjonalną dziewczyną - powiedział młody stażysta i przyjął mi się swoimi niesamowicie błękitnymi oczami. - I bardzo jednoznacznie, jeśli chodzi o język. Zobaczmy, jak sobie z tym poradzimy.

Czyżby właśnie mnie zganiał? Czyba tak, ale wyraził to dyskretnie. Choć dla moich przyjaciółek nie dość dyskretnie.

- Opanuj się trochę - szepnęła Hanna.

A Kati powiedziała cicho:

- Nie przeholuj z tymi dowcipami, on jest przecież miłutki.

Też tak uważałam. Szczególnie, kiedy zaznaczył, że ewentualnie mógłby pojechać z nami na wycieczkę klasową. Wprowadzie nie do Weimaru, na wycieczkę zaplanowaną przez panią Kempinski, ale jednak będzie to coś, co pogłębi relacje grupowe.

Pogłębi relacje grupowe! W naszej klasie rzeczywiście trzeba było dużo pogłębiać, ale jeśli chodzi o mnie, w tym momencie mało mnie to ineteresowało.

Teraz należało jedynie pogłębiać i wspierać jedynie związek dwóch osób: cudu świata, nauczyciela stażysty, ze mną, Miłą z niewyparzoną pyską!

Na przerwie był naturalnie tylko jeden temat do rozmów: Pit Winter.

- Super! Ekstra!

- Po prostu słodki!

- Fantastyczny!

- A do tego jeszcze tak świetnie wygląda!

Moje obie przyjaciółki były absolutnie zachwycone. Odpowiadało mi to, że Pit Winter dostarczał im aż tyle tematów do rozmów. Przynajmniej nie przyszło im do głowy, żeby dogłębnie analizować moje nieistniejące życie uczuciowe.

Dopiero wczoraj zaproponowały przywrócenie do życia naszego klubu czarownic, żeby wyczarować dla mnie chłopaka.

Nie, dziękuję!

Chociaż, odkąd Hanna była z Brankiem, a Kati, jak widać znalazła swoje szczęście we Florianie, było właściwie logiczne, że teraz mnie powinno się zorganizować faceta. I obie uważały, że jestem niewdzięczna, bo bronię się przed ich próbami wyswatania mnie.

- Naprawdę, Mila, mam dobre intencje - powiedziała Hanna wczoraj na imprezie u Branka. - Powinnaś podchodzić do chłopców trochę bardziej realistycznie i mniej schematycznie. Masz po prostu zbyt duże wymagania. Biorąc pod uwagę twoje oczekiwania, bez pomocy sprawdzonych czarownic, takich jak my, nigdy nie uda ci się znaleźć chłopaka.

Ta dziewczyna działała mi na nerwy. Westchnęłam teatralnie:

- No tak, będę więc musiała powoli przygotować się na starość bez mężczyzny. W wieku czternastu lat człowiek ma już życie za sobą!

Kati popukała się w czoło.

- Odbija ci?

Hanna nie dawała za wygraną.

- Na swojego księcia z bajki możesz czekać całą wieczność, jeśli trochę nie obniżysz poprzeczki.

- Dlaczego niby księżę z bajki? Jestem największą realistką z nas trzech. Właśnie dlatego tak dokładnie przyglądam się facetom. Co na to poradzę, jeśli po dokładnym przyjrzeniu się najczęściej się okazuje, że to kompletne zera, zainteresowane jedynie moją płcią, a nie charakterem? Naprawdę nie potrzebuję takiego towaru.

Hannah była przygnębiona.

- Och, ty, w mordę jeża. Jasne, że chłopcy lecą na każdą żeńską istotę, ale to nie znaczy, że wśród tych niewolników hormonów nie znajdzie się paru przyzwoitych gości. Pomyśl tylko o Branku.

Branko! Tak, tak, tak! Branko i jeszcze raz Branko! Już wiedziałam, że był perfekcyjnym chłopakiem. Czy ona musiała mnie drażnić swoim szczęściem?

A ponieważ te uwagi bardzo mnie wkurzyły, zostawiłam Hannę wczoraj na imprezie i rzuciłam się na łeb na szyję w tłum. Ale na co to się zdało? Na nic, tak jak myślałam! Co zyskałam? Tylko debilny tekst Markusa i skradzionego buziaka!

- Hej, Milu, marzysz?

Głos Kati wyrwał mnie z raczej pochmurnych myśli i przeniósł do rzeczywistości szkolnego podwórka.

- Nie masz nic do powiedzenia na temat naszego nowego stażysty?

- Nowego stażysty? Ach, tak, zadziwiający facet.

- No, to nie brzmi tak, jakbyś była specjanie zachwycona.

- Tak, tak, moim zdaniem jest naprawdę dobry... zobaczymy, jak będzie dalej... moim zdaniem jest całkiem miły...

Więcej nie chciałam na ten temat mówić. Nie mogło być nic gorszego, niż gdyby moje przyjaciółki dowiedziały się, że wbrew mojemu dystansowi do kwestii miłosnych zakochałam się w tym facecie od pierwszego wejrzenia.

To mi całkiem namieszało w głowie i najpierw musiałam sama ze sobą dojść do ładu.

Niestety nie miałam na to zbyt dużo czasu, bo po długiej przerwie mieliśmy znowu lekcje z panie Winterem. Tym razem biologię.

Był tak samo sympatyczny i wyluzowany jak na poprzedniej lekcji i udało mu się zainteresować tematem największych śpiochów. Nawet Knolle i zwykle milczący Tobi usiłowali wziąć aktywny udział w zajęciach. Tylko ja jakoś nie podnosiłam ręki i żadna inteligentna uwaga nie przychodziła mi do głowy. Siedziałam tak otulona mgłą szumnych uczuć, jakich nie przeżywałam jeszcze nigdy w życiu. Nie mogłam oderwać wzroku od jego ust i gestów, i mogłam jeszcze tylko myśleć o tym, jaki on jest wspaniały, słodki i cudowny!

Nie było to jednak to, czego ode mnie oczekiwał, bo już kilka razy kierował do mnie jakieś pytania. Niestety nie byłam w stanie odpowiedzieć na nie inaczej jak tylko bezradnym bełkotem.

Również ludzie z klasy zauważyli, że jestem całkiem zakręcona, i Hanna syknęła do mnie:

- Weź się w końcu w garść. Co ma znaczyć ten teatr? Chcesz zwrócić na siebie uwagę?

Vanessa oczywiście to usłyszała i musiała sorzucić swoje trzy grosze. Tak głośno, żeby Piwi usłyszał, powiedziała:

- Tak, komu brakuje inteligencji, ten próbuje teatralnych sztuczek!

Do Pita Wintera dotęła tylko druga część zdania, bo spytał:

- Milu, grasz w teatrze? To super. Może opowiesz coś o tym?

Widocznie wierzył, że w ten sposób przełamie moje milczenie i wciągnie mnie w temat lekcji.

Ach, to był błąd. O teatrze wiedziałam mniej niż nic. W ogóle nie byłam specjalnie utalentowana artystycznie. Wolałam napisać dziesięć testów z matmy u Karzełka Titelitury, niż stać pięć minut na scenie. Ale Piwi wydawał się być zapalonym wielbicielem teatru. Czy mogłam go tak rozczarować, wyznając, że jeśli chodzi o teatr, jestem kompletnym zerem? To jakoś głupio, chciałabym mu przecież zaimponować jakimiś szczególnymi uzdolnieniami. Dlaczego nie zapytał mnie z biologii? Moimi mocnymi stronami były nauki ścisłe, a nie humanistyczne.

Musiałam mu to jakoś sprzedać. Zebrałam się w sobie.

- Myślałam, że teraz mamy biologię - bąknęłam i zabrzmiało to bardziej szorstko, niż chciałam.

Pit Winter przyglądał mi się przez moment zaskoczony. Nie spodziewał się takiej reakcji, a mnie też zrobiło się od razu przykro.

Ale zanim mogłam jeszcze dodać coś miłszego, powiedział:

- O, pardon, jak mogłem zapomnieć! - I nie zajmując się już mną, przeszedł do tematu lekcji.

Usiłowałam jeszcze raz czy dwa wziąć udział w lekcji, ale skoro mnie ignorował, traktował jak powietrze, przestałam w końcu starać się poprawić mu nastrój.

To była znowu cała Mila. Pojawiał się facet, który mi się bardzo podobał, a ja musiałam od razu zacząć się z nim żreć. Chciało mi się wyć!

- Mila, odważa ci!

Rzadko widziałam tak naładowaną Hannę. Szłyśmy do autobusu i od momentu, kiedy przeszłyśmy przez bramę szkoły, nie zajmowała się niczym innym, jak tylko robieniem mi wyrzutów.

- Co w ciebie wstąpiło?! Jak można się tak debilnie zachowywać? Ten stażysta jest przecież taki miły!

- Też tak uważam - powiedziałam nieśmiało. - Moim zdaniem jest całkiem odjazdowy.

- No to rzeczywiście w dziwny sposób to okazujesz.

- Przyznaję. Ale ten facet naprawdę odebrał mi rozum. Mam wrażenie, że odkąd wszedł do klasy, w moim mózgu szwankują pewne połączenia.

- No to postaraj się szybko opanować tę sytuację. Inaczej ktoś mógłby pomyśleć, że będziesz się wygłupiać na wyścigi z Vanessą.

To były ostre słowa.

- Było aż tak źle? - spytałam pokornie.

- Gorzej - zabrzmiała nieczuła odpowiedź.

- Sama nie wiem, co się ze mną stało - powiedziałam i to była prawda. Coś się ze mną stało, coś zadziwiającego, niepokojącego, wspaniałego, wariackiego... ach, sama nie wiem. Niezależnie od tego, co to było, wiedziałam jedno - że miało to związek z młodym stażystą, który nagle wszedł do naszej klasy.

Czy to była moja wina, że wyglądał jak trochę starszy od nas uczeń? Skąd miałam

wiedzieć, że nim nie był, kiedy tak stał w drzwiach?

Był ubrany w takie same ciuchy, miał taki sam plecak, taką samą fryzurę i mówił tak, jak chłopcy z trzynastej klasy... miał tylko mniej pryszczy. Do licha, skoro wszystko wskazywało na to, że jest uczniem ze starszej klasy, to dlaczego nie mógł nim być?

- Napijemy się kawy? - rzuciłam Hannie pojednawczą propozycję.

Ale ona pokręciła głową.

- Nieee, nie mogę. Mam zaraz lekcję muzyki, a przedtem chciałam pójść z Brankiem na pizzę.

No tak! Po co komu przyjaciółka, która spotyka się ciągle z facetem, kiedy się jej potrzebuje?

Hanna chyba zauważyła moje rozczarowanie, bo zapytała:

- Jesteś na mnie zła?

- Nieee, nieee. - Pokręciłam głową. - Już dobrze.

ROZDZIAŁ DRUGI: W szkole coś się dzieje

Oczywiście nie było dobrze.

Przynajmniej Hanna nie zostawiła mnie całkiem na lodzie. Wieczorem zabierałam się właśnie do zamiatania salonu fryzjerskiego mamy, kiedy oparła rower o szybę wystawową. Szybko otworzyłam drzwi i wpuściłam ją do środka.

Uśmiechnęła się do mnie z poczuciem winy.

- Chciałam jeszcze raz sprawdzić, co u ciebie.

Niech cię gryzą wyrzuty sumienia, pomyślałam i odpowiedziałam słabym uśmiechem. Nie zostawia się tak przyjaciółki z powodu jakiegoś faceta!

- Przebiegłam właśnie rundkę z Brankiem - poinformowała mnie i opadła zdyszana na jeden z foteli fryzjerskich. - Proszę mycie i modelowanie!

Poskubałam jej czerwoną czuprynę.

- Przydałoby się trochę koloru - zauważyłam obojętnym tonem. Wystrzeliła z fotela jak porażona prądem.

- Zabierz te łapy - zawołała, udając przerażenie. - Tobie już nigdy nie pozwolę farbować sobie włosów! - Musiałyśmy się roześmiać. Za dobrze pamiętałyśmy, jak ufarbowałam Hannie włosy na czarno, żebyśmy mogły łatwiej się dostać na dyskotekę w Bizarre Monday, i jak farba, która miała się trzymać tylko do następnego mycia głowy, nie chciała zejść bardzo długo.

- To był tylko żart - uspokoiłam ją, a kiedy Hanna usiadła z powrotem, zaczęłam dezynfekować nożyczki, klipsy do włosów i szczotki specjalnym roztworem.

Przyzwyczaiałam się już do tej pracy, bo wykonywałam ją prawie każdego wieczora. Mama wypłacała mi za to małą pensję, która znacząco podwyższała moje kieszonkowe. Mogłam więc sobie pozwolić na dodatkowy sweterek albo wyjście do kina.

- Kto pracuje, powinien otrzymać zapłatę - twierdziła mama. - To jest w porządku. W twoim wieku wcale nie dostawałam kieszonkowego. Przed pójściem do szkoły roznosiłam gazety.

Trzeba to było sobie uświadomić, przed pójściem do szkoły! Jako notoryczny śpioch w życiu nie dałabym rady. Nie, wolę już wieczorem sprzątać salon, taka robota lepiej pasowała do mojego biorytmu. A jeśli się pośpieszyłam, to zawsze zdążyłam jeszcze gdzieś się potem wybrać.

- Ten stażysta jest naprawdę odjazdowy - Hanna od razu przeszła do głównego tematu. Jak widać, on też była pod wrażeniem Piwiego.

Nie chciałam popełnić tego samego błędu co rano i zbyt wylewnie opowiadać o swoich uczuciach, dlatego utrzymywałam dystans.

- Robi całkiem miłe wrażenie.

- Wygląda bardzo młodo. Ile lat byś mu dała?

Zastanowiłam się. Wygląda na dziewiętnście albo dwadzieścia. Ile lat trzeba mieć, żeby być stażystą w gimnazjum? Nie miałam pojęcia.

- Dlaczego go po prostu nie spytamy?

- Bo to obciach.

- Dlaczego?

- Bo tak.

Ach, tak. No to policzmy. Z matmy nie byłam wcale taka zła.

- Dwanaście semestrów studiów... to sześć lat... półtora roku stażu ma już pewnie za sobą... razem prawie osiem lat... maturę zrobił, jak miał dziewiętnaście, tak można założyć, no bo wygląda na całkiem bystrego. A że miał dobre świadectwo, dostał się od razu na biologię... a więc dziewiętnaście i osiem... - Westchnęłam. - Mój Boże, on to musi mieć co najmniej dwadzieścia siedem lat!

Trzydzieści lat starszy od nas. To był szok.

- Ale nie widać tego po nim - stwierdziła Hanna, rzucając mi pocieszające spojrzenie.

Nadal nie mogłam w to uwierzyć.

- Jak ktoś może być taki stary i jednocześnie tak młodo wyglądać?

Teraz Hanna się roześmiała.

- Mogę tylko go zacytować: to są geny!

- A przypadkiem nie hormony? - upewniłam się ze śmiechem.

Hanna zmieniła temat.

- Wyobraź sobie, że Kati jest całkiem załamana, bo Florian jutro wraca do domu. Nie może po prostu pojąć, że gość wnerwia ją przez trzy tygodnie, a teraz, kiedy się w nim zakochała, musi wyjechać.

- No tak, nieporządek i cierpienie młodości, jak mówi poeta... obawiam się, że musi przez to przejść.

- Może byśmy ją jakoś podniosły na duchu i poszły z nią jutro do kina? - W Matce Tersie-juniorce znowu odezwał się duch dobroczynności. Ale kino było w porządku. W czwartek zawsze jest nowy repertuar. Może będzie coś wesołego.

- No jasne. - Osuszyłam nożyczki i poukładałam je na wózku fryzjerskim. - Mam do niej zadzwonić?

- Ach, lepiej nie. Na pewno jest dzisiaj wieczorem zajęta Florianem. Powiemy jej jutro w szkole. - Hanna rozejrzała się dookoła. - Mogę ci w czymś pomóc? - Chuba rzeczywiście miała dzisiaj dzień dobroci dla zwierząt.

- Nieee, zostaw. Dam sobie radę.

- Zanim zapomnę. - Stała już w drzwiach. - Markus pytał czy w piątek pójdziesz z nim na jakąś imprezę.

Czy chciałabym...? Impreza z Markusem? Przegrałam jakiś zakład czy co?

- Dlaczego dostąpiłam takiego zaszczytu?

Hanna wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia. Musiałas wyrzucić na nim niezatarte wrażenie podczas imprezy u Branka.

Wyszła z salonu. Na odchodnym powiedziała:

- Zastanów się. Gdybym była na twoim miejscu, nie odrzucałabym tej propozycji. Wiesz przecież, jaki jest z niego babiarz i... no tak, zawsze istnieje pewne ryzyko!

Wskoczyła na rower i już jej nie było.

Pewne ryzyko! Dobrze to ujęła. Markus był facetem o dużym wskaźniku ryzyka, nie miałam co do tego złudzeń, i znowu wargi zaczęły mnie palić, bo przypominałam sobie jego pocałunek.

Nie, na pewno nie pójdę z nim na żadną imprezę.

Nasz dom był małym budynkiem na osiedlu z lat trzydziestych. Prosty i bez żadnych zbędnych zdobień, ale położony na końcu ślepej uliczki na przepięknie zarośniętej działce. Mama kupiła go, kiedy miałam pięć lat, i z biegiem czasu poprzez liczne przebudowy dostosowałyśmy go do naszego gustu i potrzeb. Zainstalowałyśmy nawet małą saunę. To był prawdziwy dom kobiet, który rzadko i najczęściej krótko dzieliłyśmy z jakąś męską istotą. Działo się to wtedy, gdy mama się znowu zakochiwała i uważała, że znalazła ostatecznego partnera. Ale, jak już zostało powiedziane, najczęściej nie na długo. Przynajmniej ja nie smuciłam się jednak z tego powodu. Szczerze mówiąc, uważałam, że to całkiem w porządku, że mama nie wyszła za mojego ojca. Zrobił się z niego nudziarz siedzący w swojej agencji ubezpieczeniowej, z babą i dwojgiem dzieciątek. Poza Bożym Narodzeniem i urodzinami nie miałam z nim praktycznie kontaktu. Jak już powiedziałam, nie brakowało mi go.

Kiedy wróciłam do domu, mama leżała w salonie na sofie przed włączonym telewizorem i spała. Chyba była bardzo zmęczona, biedaczka. Tak, prowadzenie takiego salonu fryzjerskiego to był niezły stres, nawet jeśli ktoś lubił to robić, tak jak ona. To nie był jej zawód tylko powołanie!

Jakieś czasopismo leżało otwarte na podłodze. Widocznie wypadło jej z rąk. Poszłam do kuchni, zrobiłam sobie dwie kanapki, umyłam jabłko i nalałam sobie oranżady.

Potem wróciłam do salonu i rozłożyłam się w fotelu. Leciał mój ulubiony teleturniej, zostawiłam się włączony telewizor.

Prowadzący wuiz uśmiechał się, pokazując do kamery swoją młodzieńczą twarz, co znowu przypominało mi naszego nowego stażystę. Do tego było pytanie z biologii: jaki ptak nie znosi jajek? Sowa śnieżna, sowa błotna, kura domowa czy kogut? To było pytanie za najwyżej stówkę!

Kogut znowu przypominał mi Markusa. Impreza - to brzmiało ciekawie, ale Markusem?! Milu, pozostań niezłomna, mówił do mnie głos wewnętrzny. Pozostanę, odpowiedziałam, żeby go uspokoić. Z drugiej strony, na takiej imprezie nie musiałabym się owijać dookoła niego jak bluszcz, mogłabym w spokoju rozejrzeć się za innymi chłopakami. Impreza stanowiła właściwie dobrą okazję, żeby zasięgnąć informacji o aktualnej ofercie na rynku odpowiednich facetów i zrobić to bezpłatnie i niezobowiązująco. Dokładnie tak, z Markusem nie miałyby to w gruncie rzeczy nic wspólnego. On był tylko bilet wstępu na to... to... powiedzmy, spotkanie informacyjne.

W jakim filmie muzycznym występowała Madonna? *West Side Story*, *Porgy and Bess*, *My Fair Lady* czy *Evita*? Jak na pytanie za szesnaście tysięcy to banal. To mogło być tylko *Evita*. Wszystkie inne musicale to stare kawałki. Założę się, że kiedy były kręcone, Madonna jeszcze robiła w pieluchy. Co powie gracz? Nie zna Madonny? Ten facet to kompletny ignorant! Co, odpowiedź dopiero po przerwie na reklamę? Rozdrażniona wbiłam zęby w jabłko. Czy oni muszą wystawiać człowieka na takie tortury? Mimo wszystko uważałam, że teleturniej jest super. Dość często znałyśmy z mamą prawidłową odpowiedź. Na ekranie pojawił się znowu prowadzący. Oczywiście odpowiedź brzmiała *Evita*. Super! Bezbłędne trafienie. Szesnaście tysięcy w kieszeni. Strasznie się ucieszyłam.

Mama chrząknęła, przewróciła się i spojrzała na mnie zaspana.

Powoli usiadła i odsunęła sobie rozczochrane włosy z czoła.

- Zasnęłam?

- Tak, miałaś stresujący dzień? Zrobić ci kanapkę?

Z uśmiechem pokręciła głową.

- Dziękuję, jadłam już coś w salonie. Tina zamówiła pizzę.

- Miałyście jakiś powód do świętowania?

- Pożegnanie.

- Och, nie mów, że Tina odchodzi?

- Tak, chce się koniecznie przeprowadzić do stolicy, bo tam mieszka jej chłopak.

Nie wiem, czy to nie błąd.

- Ach, nie bądź taką pesymistką. Nie wszystkie dziewczyny muszą mieć pecha tylko dlatego, że ty nie masz szczęścia do facetów!

Mama spojrzała na mnie badawczo.

- Skąd ci przyszło do głowy, że nie mam szczęścia do facetów?

- No, gdyby było inaczej, na pewno wyszłabyś za męża za jakiegoś!

Roześmiała się.

- Dla mnie szczęście nie musi być zakute w obrączki. Myślałam, że to wiesz!

Wstała i zamknęła okno, bo przy jej ostatnich słowach zaczął padać intensywny deszcz. Właśnie tak, jakby ktoś z góry chciał sięsprzeciwić temu lekceważeniu sakramentu małżeństwa.

- Ile dotąd wygrałaś? - spytała mama i spojrzała na ekran.

- Szesnaście tysięcy. Ale oderwałam mnie od gry i teraz przegapiłam pytanie za trzydzieści dwa tysiące!

Zaczęło groźnie walić w dach. Grad. O tej porze roku?

- Czy okno w dachu jest zamknięte? - Mama szykowała się do pójści na górę.

- Sprawdź. Usiądź sobie, cały dzień byłaś na nogach. - Pobieglam szybko po schodach. Mogłam to sobie darować, bo oczywiście okno było zamknięte.

Kiedy wróciłam, teleturniej już się skończył.

- Niczego nie przegapiłaś - powiedziała mama. - Ten facet właśnie się rozłożył na pytaniu za sześćdziesiąt cztery tysiące. A ja znałam odpowiedź.

- No to się zgłoś - zaproponowałam. - A może mam za ciebie zadzwonić?

- Ani się waż!

- Taki milion to jest coś! Wyobraź sobie, ile mogłybyśmy za to kupić! A ty nie musiałabyś już chodzić do salonu!

- Ale ja chcę pracować. Myślisz sobie, że gdybym była milionerką, to mogłabym nagle założyć ręce i być tylko gospodynią domową i matką? Nie chcesz przecież, żebym ci to zrobiła!

Ach, jakie poczucie taktu. Neeee, jasne, że nie chcę.

- Ale myśl, że można leżeć na Majorce, na słoneczku przy basenie, i flirtować z miłymi facetami, zamiast obcinać ludziom włosy, ma coś w sobie. Przyznasz chyba, no nie?

Mama się roześmiała.

- Jasne, podczas wakacji jest OK, ale to nie może być życiowym celem.

Westchnęłam. Oczywiście w pewnym sensie miała rację.

- Słuchaj, skoro Tina odchodzi, kto będzie robił fryzury pokazowe?

Mama podciągnęła nogi i wtuliał się głęboko w sofę.

- Też się nad tym zastanawiam. Zgłosiliśmy się już i będzie głupio, jak nie weźmiemy udziału.

Lokalny konkurs fryzjerów pod hasłem "Dobrze strzyc" był dla nich jednym z najważniejszych wydarzeń w regionie. Zajęcie wysokiego miejsca miało zawsze pozytywny wpływ na interes. Mama w ostatnich latach zgarnęła tam wiele nagród.

Głupio, że Tina odeszła akurat teraz.

- Chcesz sama wziąć udział?

Obawiałam się najgorszego.

- Uważasz, że sobie nie poradzę? - obruszyła się mama.

- Tak, tak, jasne, że tak... tylko... to zawsze taki niesamowity stres!

- Znasz kogoś lepszego?

Oczywiście, że nie. Tina była najlepszą fryzjerką w salonie mamy. Karin raczej specjalizowała się w trwałych dla pań po sześćdziesiątce, a Elvira to jeszcze uczennica. Pozostawała tylko mama.

- No dobrze, jeśli to ma pomóc twojemu biznesowi, zrób to. Pokażesz im, co to modna fryzura!

Pochwała ucieszyła ją i uśmiechnęła się do mnie szczęśliwa jak dziecko.

- A przyniesiesz mi coś do jedzenia i coś zimnego do picia?

Podniosłam swoje cielsko, żeby spełnić jej prośbę. Byłoby nieźle, gdyby mi też ktoś czasem przyniósł coś pysznego przed telewizor. Ale było tak tylko wtedy, kiedy spędzałam wieczór u Hanny albo u Kati. Ich mamy wprawdzie miały własne biznesy, ale również mężów, i dlatego istniało tam uregulowane życie rodzinne. To znaczy matki troszczyły się o dzieci, a nie odwrotnie.

- Skarb z ciebie - zawołała mama za mną, kiedy wbrwie własnej woli człapałam do kuchni.

Czasami życie córki samotnie wychowującej matki działało mi na nerwy!

Kiedy następnego ranka spotkałam Kati na podwórku, wyglądała na niewyspaną i miała oczy czerwone od płaczu. O mój Boże, ale musiało ją dopaść!

Przytuliłam ją i dałam jej buziaka w policzek.

- Biedna myszka. Aż tak źle? - zapytałam ze współczuciem.

Nic nie mówiąc, pokiwała głową. Po kilku krokach powiedziała:

- Dlaczego przez trzy tygodnie żyłam obok niego i nie zauważyłam, jaki jest kochany? Nigdy nie daruję sobie tego, że byłam dla niego taka wredna. Mogliśmy tak pięknie spędzić ten czas... a teraz go nie ma. - Rozszlochała się i nie mogła powstrzymać łez.

Rozejrzałam się dookoła. O mój Boże, ale ta dziewczynarobiła mi obciach. Miałam nadzieję, że nikt nas nie widział.

Pobożne życzenie i płonna nadzieja na przepelnionym szkolnym podwórku, przez które płyną masy uczniów przed rozpoczęciem lekcji.

Knolle, ten niesamowity typ z nosem jak kartofel, zatrzymał się, przechodząc obok, i przeszywał Kati wzrokiem bez słowa, ale z wielkim zainteresowaniem.

- Spadaj - syknęłam na niego - zanim gały ci wyleżą!

W tym momencie podszedł do nas Markus.

- No, blondyneczko? Kłopoty sercowe? Mogę cię pocieszyć?

Miałam ochotę wystrzelić go na Księżyc. Zaprezentował się nam w markowych ciuchach, przyjmując znaną już pozę macho. Jak mu się udawało wydobyć z oczu taki błysk, kiedy patrzył na jakąś dziewczynę? Z takim facetem nie mogłam pójść na imprezę. Miałam nadzieję, że teraz nie poruszy tego tematu.

Oczywiście to zrobił.

- No i? Pytała cię Hanna? - powiedział do mnie mimochodem, nie odrywając wzroku od Kati, którą obserwował jako interesujący obiekt badań.

- Pytałeś o coś? - Udałam głupią.

- No, czy pójdziesz ze mną na imprezę?

- Ach, na imprezę. A tak, pytała mnie, pytała.

- No i? Pójdziesz ze mną?

Teraz przyparł mnie do muru. Czy ulec pokusie? Ale kiedy stał tak niesamowicie pewny siebie, niemal arogancki, gorzkie soki żołądkowe podeszły mi do gardła. Nieee, z takim typem - nigdy. Za kogo on się uważa, żeby mnie tak prostacko podrywać?

Hanna poszła z nim na dyskotekę, bo pomógł jej na teście z matmy. To był rodzaj zapłaty. Ale ja nie byłam mu nic winna i dlatego nie miałam najmniejszego powodu, żeby zaszczycać go swoim towarzystwem. Podanie odrzucone.

- I jak? - popędzał m, nie.

Złapałam Kati pod rękę i odciągnęłam ją od gapiących się na nią chłopaków. Obejrzałam się jeszcze w stronę Markusa i rzuciłam od niechcenia:

- Możesz napisać podanie. Licz się jednak z dłuższym okresem rozpatrzenia próśby. Obecnie wszystkie jesteśmy zajęte.

Ktoś za momi plecami głośno się roześmiał. Hanna. Też złapała Kati pod rękę i powiedziała do mnie cicho:

- Ale go zatkało!

Na matmie zezowałam dyskretnie na Markusa. Podniósł oczy znad swojej kartki i odwrócił się, jakby poczuł mój wzrok wpijający mu się w kark. Nasze spojrzenia się spotkały. Ten błysk! Jakby kipiał w nim wulkam, z którego nieustannie wylewa się lawa. Kiedy ten facet na kogoś patrzył, niepokojąca energia przeskakiwała jak iskry między elektroidami. Karzelek Titelitury też musiał usłyszeć w tej chwili trzask.

Odwróciłam wzrok od Markusa i spojrzałam w stronę stołu nauczycielskiego. Nic. Nasz nauczyciel był zaczytany w jakimś kryminale i nie zauważył naładowanej energią atmosfery między Markusem i mną.

- Już skończyłaś? - syknęła do mnie Hanna.

Pokręciłam głową i nachyliłam się z powrotem nad testem. Jeśli kiedykolwiek miałabym się interesować jakimś chłopakiem, to na pewno nie takim typem jak Markus.

A tak w ogóle, co mnie obchodził Markus i inni chłopcy? Dla mnie słońce świeciło tylko na wybranych lekcjach. A ten, kto przypuszczał, że było to związane z naszym nowym stażystą, miał absolutną rację.

Nie byłam specjalnie dobrą uczennicą, raczej średnią, i dlatego niespecjalnie zainteresowaną życiem szkoły. Odgrywała ona w miom życiu podrzędną rolę. Był to przykry obowiązek - jego największą zaletą był fakt, że oprócz nauczycieli spotykało się tam fajnych ludzi, z którymi przynajmniej na przerwach można było pogadać. Ale ponieważ przerwy były krótkie, a lekcje długie, proporcja wypadła jednoznacznie na niekorzyść szkoły. Teraz jednak niektóre lekcje mogły dla mnie trwać wieczność i odkryłam, że właściwie zawsze pasjonowały mnie niemieckie ballady i związki między zjawiskami biologicznymi, co z resztą bardzo zadziwiło moje przyjaciółki.

Jasne, pani Kempinski-nie-z-dynastii-hotelarzy była także supermiłą nauczycielką, ale w porównaniu z Pitem Winerem miała dwie wady: była kobietą, i to w takim wieku, że mogłaby być moją matką. A jedna mama w domu mi wystarczała.

Nasz stażysta bardziej przypadł mi do gustu. Chociaż... w sumie nie był aż tak przystojny. W porównaniu z Markusem, który zawsze wyglądał jak po dwutygodniowych wakacjach na Majorce, Piwi był trochę bladej i pod błękitnymi oczami miał ciemne cienie, tak jakby pracował niejedną noc. Czy jako stażysta musiał tak się męczyć? Nieważne. Decydujące było przede wszystkim to, że podchodził do nas miło i z humorem.

Właśnie usiłował zachęcić naszą niemrawą klasę do udziału w konkursie "Młodzi badacze".

- Bardzo chciałbym zaopiekować się grupą, która będzie realizować jakiś projekt. Jeśli wkrótce zaczniemy, to możemy jeszcze rozpocząć serię eksperymentów

badających prawa Mendla. Gdybyśmy choć całość opracowali w formie animacji komputerowej, byłaby to naprawdę fajna sprawa.

Trochę się zdziwiłam, że jako stażysta chce z nami przeprowadzić jakiś ambitny projekt. Moi koledzy też byli tego zdania.

- Czy zostanie pan u nas tak długo? - zawołała zdumiona Vanessa.

Roześmiał się.

- Tak, myślę, że w każdym razie do końca roku szkolnego. Czasu powinno wystarczyć. Więc jeśli ktoś jest zainteresowany, niech przyjdzie na długiej przerwie na rozmowę wstępną do pracowni biologicznej.

- Prawa Mendla? - spytała Hanna po dzwonku. - Co to takiego?

- Coś z dziedziczeniem - odpowiedziałam, po przypomniałam sobie mgliście pytanie z jakiegoś teleturnieju.

- Hm, masz na to ochotę? - Kato też nie była zachwycona. Nauki przyrodnicze nie były jej specjalnością. Również działalność naszego nowego "agitatora" nie robiła na niej specjalnego wrażenia, bo była nadal pogrążona w smutku z powodu odjazdu Floriana. Musiałam więc udać się do pracowni biologicznej jako jedyna z naszej trójki.

Najchętniej zwróciłabym z progu, kiedy zobaczyłam, kto jeszcze interesował się projektem albo może raczej Pitem Winterem.

W grupie ośmiorga uczniów nie można było nie zauważyć Vanessy i Markusa!

Podczas gdy Markus, widząc mnie, od razu zagwizdał przez zęby, Vanessa aroganckim ruchem głowy odrzuciła do tyłu burzę czerwonych loków i udawała, że mnie nie dostrzega.

- Nie rób takiej miny - zwrócił się do niej niegrzecznie Markus - bo dostaniesz zmarszczek.

Jej spojrzenie przeszło go jak strzała. Ale nic nie powiedziała.

Zamiast tego zwróciła się do Piwiego:

- Czy grupa nie zrobiła się zbyt liczna?

Ale on tylko się roześmiał.

- Nie, nie! Wchodź, Milu. Fajnie, że interesujesz się projektem, dla ciebie zawsze znajdzie się tu miejsce.

Myliłam się, czy też naprawdę ucieszył się, że chciałam uczestniczyć w projekcie? Jeszcze nigdy mnie to nie spotkało. Najczęściej nauczyciele wpadali w panikę, kiedy chciałam się zapisać na jakiś fakultet. Miałam jeszcze przed oczami przerażony wyraz twarzy naszego dyrygenta Old MacDonalda, kiedy zgłosiłam się do chóru.

- Ale nie śpiewaj głośno, Mili, i pozostaw wejścia Hannie - powiedział.

Wcale nie byłam aż tak bardzo niemuzykalna. Nie trzeba się było upierać przy klasycznym repertuarze. Jakby mi pozwolił, to bym mu coś konkretnego zaprezentowała, tak że nawet Sabrina Setlur wypadłaby przy mnie blado! Tak przynajmniej uważałam.

Czy ktoś był zdania, że rap to nie muzyka?! Zero pojęcia o brzmieniu nowego tysiąclecia!

Podeszłam do wolnej ławki i przechodząc obok Vanessy, pokazałam jej język. Słyszałaś? Dla mnie zawsze ma miejsce. Dla mnie! Nie dla ciebie!

To, co Piwi później opowiadał o projekcie, nie było już takie pasjonujące. Chodziło o wychodowanie całej masy muszek owocowych z gatunku *Drosophila melanogaster*, żeby zbadać, jak dziedziczone są określone cechy skrzydełek. Dlatego muszki były z prostymi i podkreślonymi skrzydełkami. Nasz eksperyment miał wykazać, czy kształt skrzydełek jest czynnikiem recesywnym, czy dominującym. Największą atrakcją miała być jednak prezentacja projektu w formie animacji komputerowej. To oczywiście interesowało Markusa, który był zapalonym komputerowcem.

Na pewno zrezygnowałabym, gdyby Pit Winter nie zaprosił mnie do udziału w projekcie. No więc zapisałam się na listę i zobowiązałam się do hodowania w najbliższym czasie całej masy muszek owocowych i badania ich pod względem cech dziedzicznych.

- Cooo? Trzy razy w tygodniu zostawać godzinę dłużej i codziennie kontrolować wyniki eksperymentu? Zwariowałaś?! - Hanna nie mogła tego pojąć, kiedy na przerwie opowiedziałam jej i Kati, na co się zdecydowałam. - Nie masz nic lepszego do roboty niż spędzanie czasu w towarzystwie muszek owocowych? Naprawdę widać, że potrzebujesz chłopaka!

Kati jęknęła:

- To okrutne!

Nie mogłam się jednak zgodzić z tą opinią. Muszki zniosę na luzie, pomyślałam sobie, jeśli za to będę mogła spędzić kilka godzin więcej z Pitem Winterem!

- Jesteś tak dziwnie promienna. - Hanna wyrwała mnie z rozmyślań i swoim zmysłem detektywa zaczęła węszyć: - Czy przez ten projekt nie realizujesz jeszcze jakichś innych zainteresowań? Czy Markus czasami też nie jest w grupie?

Uśmiechnęłam się bezczelnie. Jasne, że nie zmierzałam wyłącznie do naukowych celów, chociaż stawiając na Markusa, Hanna się pomyliła. Ale do tego nie przyznam się nawet moim najlepszym przyjaciółkom. Dlatego powiedziałam, siłąc się na luz:

- Gdzie tam! Wszystko wyłącznie dla dobra nauki. Muszki zawsze były moją pasją.

A kiedy wlokłyśmy się z powrotem do klasy, rzuciłam jeszcze anegdotkę z dzieciństwa, która miała podbudować moje doświadczenie:

- Wiecie, że już jako trzylatka byłam zafascynowana muszkami? Łapałam je do słoików po dżemie i wieszałam nad łóżkiem.

Wolałam jednak nie opowiadać moim wrażliwym przyjaciółkom, że codziennie sprawdzałam, czy nie zdechły z braku powietrza. Jednak wspomnienie o pociągu do badań naukowych z wczesnego dzieciństwa utwierdziło mnie w przekonaniu, że jestem odpowiednią osobą w grupie Pita Wintera.

Po południu, tak jak planowałyśmy, poszłyśmy z Kati do kina. Wybrałyśmy komedię, która jednak nie była aż tak śmieszna. W każdym razie trudno było pomóc Kati zapomnieć o rozstaniu z Florianem.

Po kinie postanowiłyśmy zajść jeszcze na herbatę do Hanny, do księgarni jej mamy. A kiedy siedziałyśmy już tam w przytulnym pomieszczeniu i przeglądałyśmy gazety i magazyny, jeszcze raz dodałyśmy jej solidnie otuchy.

- Wyobraź sobie - powiedziała Hanna - że klóciłibyście się do ostatniej chwili! Teraz wiecie przynajmniej, że czujecie coś do siebie, a przecież do naszych następnych ferii już wcale nie tak daleko. Wtedy pojedziesz do Floriana i miło spędzicie czas.

Kati pokiwała głową i wyglądała na szczęśliwą i nieszczęśliwą jednocześnie. Miłość musi być piękna!

Przeglądałam właśnie lokalne wydanie gazety i zauważyłam wielkie ogłoszenie: *Zespoły uczniowie-nauczyciele poszukiwane do turnieju.*

Tak tam było napisane. Ciekawe... Przeleciałam szybko tekst. Zespoły złożone z uczniów i nauczycieli, gotowe do wzięcia udziału w konkursie wiedzy, proszono o zgłoszenie się do eliminacji. Drużyny miały się składać z trzech uczniów i nauczyciela. Konkurs przeznaczony był dla uczniów gimnazjów. Do wygrania były różne nagrody: od komputera po wycieczkę do Berlina dla całej klasy. Brzmiało kusząco, ale kiedy zobaczyłam Kati nadal siedzącą jak kupka nieszczęścia nad filiżanką gerbaty, stwierdziłam, że koniecznie trzeba jakoś odwrócić jej uwagę. W im bardziej pasjonujący sposób, tym lepiej.

- Co sądzicie o tym, żebyśmy wzięły udział w teleturnieju? - wypaliłam.
Obie spojrzały na mnie pytająco.

- Dla gimnazjalistów i nauczycieli. To coś dla nas.
Podalam Hannie gazetę. Zaczęła czytać na głos.

- Ale odjazd! - Pomysł spodobał jej się od razu, ale Kati, która zawsze miała jakieś zastrzeżenia, szybko wyraziła swoje wątpliwości.

- Sądzisz, że jesteśmy wystarczająco mądre? A który nauczyciel mógłby wziąć w tym udział? Tutaj jest napisane, że ma się zgłosić trzech uczniów i nauczyciel. Kto? Może Karzelek Titelitury?

- Ach, bzdura! - Nie mogłam pozwolić, żeby wszystko od razu zepusła. - Na pewno szukają całkiem normalnych ludzi. Tutaj jest napisane, że to projekt wspierany przez Ministerstwo Oświaty. To taka promocja wiedzy. Konkurs przebiega pod hasłem "Dać szansę kształceniu". Jest nadawany we wszystkich programach regionalnych. Myślę, że miałybyśmy poważne szanse. I na pewno byłaby to świetna zabawa!

- Co trzeba zrobić, żeby się zgłosić? - spytała Hanna i przejechała palcami po swoich krótkich rudych włosach.

- Wysłać nieformalne zgłoszenie.

- Co to znaczy nieformalne? - chciała wiedzieć Kati.

- No, po prostu trzeba napisać normalny list w stylu: *Niniejszym zgłaszamy się do teleturnieju.*

Kati znowu miała zastrzeżenia.

- Czy to nie szkoła powinna się zgłosić?

- Mogłabym wziąć papier firmowy samorządu szkolnego. Wtedy byłoby półoficjalnie - zaproponowała Hanna. Uważałam to za genialny pomysł.

Ale Kati nie odpuszczała.

- Nie wyobrażam sobie, że któryś z naszych nauczycieli się na to zgodzi.
Spojrzałyśmy z Hanną na siebie.

- A ja tak! - powiedziałyśmy jednocześnie.

- Niby kto? - Kati pogrążona w bólu rozstania naprawdę nie dostrzegając, że Ziemia nadal się kręci.

Roześmiałyśmy się.

- Jak to kto? Oczywiście Pit Winter! Nasz nowy stażysta.

Kati mało nie padła. Jednak po kilku łykach cherbatki uspokajającej musiała przyznać, że pomysł wcale nie był taki dziwny.

- Można się po nim spodziewać, że pójdzie na coś takiego - powiedziała w końcu. - A ci trzech uczniowie?

- No, jasne, że my!

- Nieee, beze mnie. Absolutnie się nie nadaję do publicznych występów. Nie mogę sobie nawet wtedy przypomnieć, jak się nazywam, i skompromituję całą szkołę.

Chciałam właśnie przekonać ją jakąś sztuczką, kiedy Hanna powiedziała:

- Tutaj jest napisane, że powinna zostać zachowana równowaga płci. To znaczy, że chcą dwie kandydatki i dwóch kandydatów.

Kati odetchnęła z ulgą.

- No to i tak odpadam.

- Jednego faceta mamy, ale skąd weźmiemy drugą męską istotę? - narzekała Hanna.

- A może Tobi? - zaproponowałam.

Kati zachichotała.

- No to ja też bym mogła. On jest przecież zbyt nieśmiały!

Miała rację. Tobi był ostatnią osobą nadającą się do publicznych występów. Śpiewając duety z Hanną podczas występów naszego chóru na targach EXPO, strasznie się skompromitował i Old MacDonald zwolnił go na przyszłość ze wszystkich

zobowiązań tego rodzaju.

- A może Knolle? - Kati pozwoliła sobie na kretyński żart.
- Bzdura. Kandydat powinien się wykazać jakąś inteligencją.
- No to może Markus? - zaproponowała Hanna z głupim, prowokacyjnym uśmiechem skierowanym pod moim adresem.
- Markus? Chcesz mnie usunąć z ekipy? Nie uważasz chyba, że zrobię z nim coś takiego!
- Niby dlaczego nie? - Kati podchwyciła tę, z pewnością żartobliwą, propozycję Hanny. - On jest całkiem bystry.
- Bystry? Mam gdzieś jego bystrość! Jest wkurzający i nic więcej.
- Ale dziwnym trafem również Hanna nie odrzucała tego dziwaczego pomysłu.
- Przyznaję, że jako facet ma swoje wady, ale do czegoś takiego całkiem dobrze by się nadawał. W każdym razie jest wystarczająco pewny siebie.
- Beze mnie!
- Nie wygłupiaj się! Nie bierzesz z nim przecież ślubu. Jest tylko członkiem naszego zespołu i nie musisz mieć z nim nic wspólnego. Znasz mój stosunek do niego. Nie bez powodu dałam mu kiedyś po twarzy. Ale tutaj chodzi o wygraną i z klasy nie przychodzi mi na myśl nikt, kto lepiej by się nadawał.
- Niestety musiałam jej przyznać rację.
- Myślicie, że zgodziłby się wziąć udział?
- Na pewno. Jest wystarczająco próżny.
- Ale nie chcę mieć z nim nic wspólnego. Jeśli będziemy musieli występować w parach, to chcę być razem z Pitem Winterem - postawiłam swoje warunki.
- Hanna musiała to jakoś przelknąć.
- Dobrze, możemy tak zrobić. Poświęcę się dla wspólnej sprawy. Wyobraźcie sobie, że wygrywamy wycieczkę klasową do stolicy. Ale byłoby super!
- Nie czułam jeszcze tak do końca tej całej historii, ale Hanna wydawała się już nad wszystkim panować.
- Poszła do swojego pokoju i przyniosła papier firmowy samorządu szkolnego, potem napisała list, zgłaszając siebie, mnie, Pita Wintera i Markusa do udziału w teleturnieju.
- Czy to czasami nie jest wasza próba wyswatania mnie z Markusem? - jeszcze raz spytałam na wszelki wypadek, zanim zakleiła kopertę.
- Hanna i Kati spojrzały na mnie z niewinnymi minami.
- Ależ nie, naprawdę! - powiedziała Kati, a Hanna dodała:
- Chociaż u ciebie też mogłoby zacząć się coś dziać. Już od tygodni zachodzę w głowę, kto by się nadawał dla ciebie...
- Nie, proszę, tylko nie znowu to samo, pomyślałam wkurzona, bo wiedziałam, że na ten temat mogłyby gadać godzinami. Życie uczuciowe Mili było dla moich przyjaciółek bardziej pasjonujące niż teleturnieje.

ROZDZIAŁ TRZECI: **Mila biologiczno-dynamiczna**

Wydarzenia w szkole i pokaz fryzjerski mamy tak mnie zaabsorbowały, że całkiem zapomniałam o naszym zgłoszeniu.

Pit Winter był absolutną gwiazdą i serca wszystkich uczniów po prostu frunęły do niego. Chłopcy zapraszali go, żeby na przerwie zagrał z nimi w piłkę nożną, a jeśli chodziło o dziewczyny, to zawsze otaczały go wianuszkami.

Ku mojemu ubolewaniu. Zwłaszcza Vanessa używała całego ciała, żeby zniechęcić każdą żeńską istotę, znajdującą się w pobliżu Piwiego, a kiedy tylko na nią popatrzył, wypinała biust. Od wielu dni nosiła tylko obcisłe topy, a jej najnowszy, czerwonomarańczowy kolor włosów tak dawał po czach, że było ją widać z daleka, jak światła ostrzegawcze na miejscu wypadku drogowego.

Działała wszystkim na nerwy, ale była święcie przekonana, że Pit Winter uważał ją za słodką, bo na pytanie, co sądzi o czerwono włosych dziewczynach, odpowiedział nieopatrnie, że jego zdaniem są słodkie.

Teraz stwierdziłby raczej, że są "klejące", bo Vanessa przy każdej okazji lepiła się do niego, zadawała wszystkie możliwe pytania i rzucała tezy, żeby się podlizać, i była jeszcze na tyle bezczelna, żeby prosić go o książki do przygotowania jakichś tam referatów.

Jako zaangażowany w swoją pracę nauczyciel rzeczywiście przynosił jej te książki, a ona nie miała do roboty nic innego, jak tylko pokazywać je naokoło i szpanować bliskimi kontaktami z Piwim.

- Wiesz co - wzięła mnie kiedyś podczas dużej przerwy na stronę i pokazała należący do niego tomik ballad - to rodzaj powinowactwa dusz. Moim zdaniem ballady są takie romantyczne. - Potem otworzyła książkę i pokazała mi tekst Ludwiga Uhlanda. - Popatrz, wszędzie są jego odręczne notatki. Jest taki mądry!

Ach, no coś takiego! Powinowactwo dusz, romantyzm... poezja i rzeczywistość mieszały się jej w głowie.

Ale kiedy pewnego popołudnia siedziałam na słońcu i przeglądałam swój tani tomik ballad, pozazdrościłam Piwiemu jego pięknego wydania w twardej oprawie z materiału. I wkurzyłam się na niego. Jak on mógł pożyczyć tej głupiej krowie taką piękną książkę? To było rzucanie pereł przed wieprze. Ja też chciałam dostać od niego coś tak osobistego!

Udało mi się szybciej, niż myślałam, i było to coś tak osobistego, że Vanessa oddała za to wszystkie tomiki poezji z odręcznymi notatkami.

- Idziemy dzisiaj nad bajora! - obwieścił Pit Winter pewnego słonecznego ranka na lekcji biologii.

- Bajora?

- Tak. Nigdy o nich nie słyszeliście? To doskonały czas na zbieranie w wilgotnych boitopach materiału poglądowego na lekcje. Skoro mamy tutaj w okolicy takie piękne moczary, powinniśmy to koniecznie wykorzystać.

Zaciągnął nas do pracowni biologicznej, zaopatrzył w wiaderka i słoiki z zakrętkami, zapakował pipety i probówki z zatyczkami i wyraził swą radość z tego, że lekcje biologii są w naszej szkole w kilkugodzinnych blokach, mamy więc wystarczająco dużo czasu, żeby pójść na wycieczkę.

Knolle i Vanessa od razu zaproponowali swoją pomoc, a on dał im do niesienia po siatce. Potem wyruszyliśmy.

Nikt nie miał ze sobą kaloszy, a teren robił się coraz bardziej podmokły, tak więc z Hanną i Kati zdjęliśmy buty, związałyśmy je sznurowadłami i zawiesiliśmy sobie na szyi.

Nad bagnami położyliśmy wszystko na pniku, podwinęliśmy spodnie i ostrożnie zbliżyliśmy się do wody.

Nagle Kati zapiszczała i spanikowana zaczęła wrzeszczeć:

- Pomocy, pomocy! Zabierz to, Mila, to obrzydliwe! Zabierz to!

Nie wiedziałam, co się stało, ale skoro skakała jak wariatka na jednej nodze, a drugą machała w powietrzu, musiało to być coś naprawdę poważnego.

- Co się stało, co z tobą, Kati? - spytała wystraszona Hanna.

- Tam... tam... przy mojej nodze... coś mnie zżera... O Boże, jakie to wstrętne!!!
Rzeczywiście, do jej stopy kleiło się coś w rodzaju czarnego robala. Bardzo dziwne coś. Nie wyglądało zbyt apetycznie. Nie miałam pojęcia, co mogło czychać w bagnie, żeby pożreć nogę Kati, więc wydarłam się:
- Proszę pana! Szybko! Jakiś kosmita zżera Kati!
- Kosmita? - roześmiał się zdziwiony i spokojnie podszedł do nas. Jaki kontrast w stosunku do rozhisteryzowanej Kati, która oparła się o Hannę i nadawała wciąż to samo:
- Zabierz to... proszę, proszę, zabierz to...
- Tam, na nodze, przykleiło się do niej coś obrzydliwego - powiedziałam.
- Pokaż.
Piwi pochylił się do jej stopy. Potem się roześmiał.
- Ach, to tylko pijawka.
Złapał to obrzydlistwo między kciuk a palec wskazujący i oderwał delikatnym ruchem.
- Rzeczywiście już się przysssała. Nie przypuszczałem nawet, że tu są. Chociaż powinno się wspierać ich naturalne istnienie.
- Ze jak proszę? - Kati gapiała się na czerwoną malinkę, którą pozostawiła pijawka. Nie mogła znaleźć w pijawkach nic, co mogłoby usprawiedliwić ich wspieranie.
- Nie mów tak. W medycynie naturalnej odgrywają one bardzo ważną rolę. Nie słyszeliście nigdy o tym, że kiedyś stosowało się pijawki w leczeniu niektórych chorób? Dzisiaj znowu sięga się do tych doświadczeń. - wyjaśnił Piwi.
Markus usłyszał jego ostatnie słowa i dodał z ironicznym uśmiechem:
- Ludzi wsadza się do wanny wypełnionej pijawkami. Ale to musi łaskotać!
Kati wcale nie było do śmiechu. Powiedziała skwaszona:
- Jak kiedyś wygram w lotto, to zafunduję ci tę przyjemność!
Wszyscy się roześmiali. Potem znowu rozeszliśmy się wokół bajor, uważając, żeby nie paść ofiarą następnej pijawki.
Kati całkiem się poddała i aby chronić swoją wyssaną stopę, usiadła na pniaku koło naszych rzeczy.
- Co mamy teraz robić? - spytałam Piwiego.
- Pobierzemy teraz z każdego bajora próbki wody. Przyklejcie jednak na słoikach etykiety i opiszcie, z którego bajora pochodzi próbka i jak wygląda roślinność porastająca brzeg.
Podszedł do innej grupy.
- Weźcie po jednym z każdego gatunku glonów. Będziemy potem obserwować pod mikroskopem glony i wodę.
- Tu są kijanki!!! - wrzasnęła nagle Vanessa. - Złapałam kijanki! Cały słoik!
Podniosła wysoko w górę słoik ze swoim połowem i znowu uważała się za kogoś fantastycznego.
Zainteresowało mnie to i chciałam obejrzeć kijanki. Poczłapałam do bajora Vanessy, podeszłam do niej z boku i złapałam ją za wyciągniętą rękę.
- Pokaż - powiedziałam.
- Zabierz ręce od moich kijanek! - natychmiast mnie objechała, spuściła rękę i walnęła mnie łokciem.
Nie byłam przygotowana na taki atak, straciłam równowagę na wilgotnym podłożu i z wrzaskiem przerażenia wpadłam do wody.
Było płytko, ale wystarczająco głęboko, żebym przemoczyła podkoszulek. Kiedy z pomocą Hanny wydrapałam się na nogi, koszulka kleiła mi się do ciała i eksponowała moje żeńskie cechy płciowe.
Ale obciach!

- Hej, Miła, jesteś sexy! - zaczął od razu świrować Knolle, a Tobi zaczerwienił się jak dojrzały pomidor; mimo związku z siódmoklasistką w tej kwestii nic się nie zmieniło.

Markus przynajmniej się nie odezwał, ale z rozkoszą oblizywał wargi.

Zimny podmuch wiatru sprawił, że nabrzmiały mi brodawki. Chciałam je zasłonić ramionami. O nie, jakie to okropne! Jak oni dlaej będą się tak na mnie gapić, to wejść pod wodę, pomyślałam.

Tymczasem również do Pita Wintera doszło, że nad naszym bajorem znowu biotopem wstrząsnęło nieplanowane zdarzenie.

Nie trzeba było kombinować, żeby, widząc mnie w mokrej koszulce, domyślić się, co się wydarzyło. Zadał więc retoryczne pytanie:

- Wpadłeś do bajora?

Odpowiedź wydawała się zbędna.

- Co tak stoicie i się gapiacie? - zwrócił się natychmiast do moich ciekawskich kolegów. - Wracajcie do roboty. Ja się zajmę Miłą.

- Mogę to zrobić za pana - rzucił lekceważąco Markus.

Ale kiedy pan Winter ostrym głosem powiedział:

- Spadajcie! - naprawdę wszyscy sobie poszli. Została tylko Hanna. No i Vanessa, sprawczyni całej tej mojej katastrofy, nie ruszyła się z miejsca. Słoik z kijankami nadal trzymała w ręce.

- Co tam masz, Vanesso? - spytał Pit Winter.

- Kijanki. Mam zakręcić słoik?

- Nie. Nie wolno zabierać kijanek ze stawów i bajor.

Vanessa sprawiała wrażenie rozczarowanej.

- Ale jest ich tu przecież tak dużo. Jak weźmiemy kilka, to nikt nawet nie zauważy. Moglibyśmy wychodować z nich żaby.

- Nie zajmujemy się żabami - stwierdził Pit Winter - ale jednokomórkowcami i glonami. Wypuść je.

Potem odwrócił się znowu do mnie. Zobaczył, że stoję nad brzegiem bajora, zasłaniając rękami piersi, trzęsąc się z zimna i szcękając zębami, i ogarnęło go współczucie.

- Ach, biedactwo - powiedział - trzęsiesz się szybciej, niż szcękasz zębami. - I zanim się obejrzałam, ściągnął swoją bluzę i podał mi. - Zdejmij tę mokrą koszulkę i weź to. Nie chcę ponosić odpowiedzialności, jeśli nabawisz się śmiertelnej grypy.

Wybałuszyłam na niego oczy i nie poruszyłam się nawet. Jego ręka z bluzą wisiała tak w powietrzu. Nie mogłam wziąć od niego bluzy, bo potrzebowałam obu rąk, żeby zkaryć sobie piersi, a właśnie przed nim nie chciałam obnażać swojej kobiecości.

Natychmiast zrozumiał tę delikatną sytuację. Wcisnął ubranie Hannie do ręki, mówiąc:

- Pomóż Mili się przebrać. - I podreptał do chłopaków do innego bajora.

- Ale... ale... tak... nie można - bąkałam za nim - nie mogę przecież założyć pańskiej bluzy.

Ale on tylko odwrócił się z uśmiechem:

- Ja mam przecież jeszcze koszulkę polo... zakładaj spokojnie... najważniejsze, żebyś się w niej nie utopiła!

To było dość dwuznaczne.

Hanna osłoniła mnie przed spojrzeniami chłopaków, a ja zdjęłam mokrą koszulkę. Potem wskoczyłam w milutką bluzę Pita Wintera.

Oczywiście była dla mnie o wiele za duża, ale i tak czułam się w niej jak rozpieszczona nadmiarem szczęścia księżniczka. Delikatny, świeży zapach łaskotał moje zmysły i otumaniona mogłam myśleć tylko o jednym: mam na sobie jego bluzę,

mam na sobie jego bluzę, Piwi dał mi swoją bluzę!

Ani królewska szata z atłasu i brokatu, ani balowa suknia z tafty i jedwabiu nie uszczęśliwiłaby mnie bardziej niż ten bawełniany ciuch.

Otoczenie i inni uczniowie usuwali się w cień, rozplywali się gdzieś bez znaczenia. Czulałam się tak, jakbym była otoczona jakimś różowym obłoczkiem. Kiedy moje spojrzenie padło przypadkowo na Vanesę, jej zielona z zazdrości twarz stanowiła ciekawy, modny kontrast z różem obłoczka.

Naturalnie Vanessa nigdy mi tego nie wybaczyła.

Kiedy dwa dni później przyniosłam naszemu nowemu stażystce świeżo wypraną i wyprasowaną bluzę, nie mogła się opanować z zazdrości. Gdybym jej jeszcze zdradziła, że jedną noc spałam ubrana w ciuch Piwiego, prawdopodobnie z miejsca rzuciłaby mi się do gardła. Zachowałam więc dla siebie ten pikantny detal. Kiedy później widziałam Pita Wintera w tej bluzie na lekcjach, przechodził mnie przyjemny dreszczyk rozkoszy.

W ten sposób w krótkim czasie rozwinęła się specjalna relacja między mną i naszym stażystą, który ciągle był obecny w moich myślach. Dzięki projektowi "Młodzi badacze" widywałam go poza lekcjami, a to oznaczała, że miałam z nim codzienny kontakt. Często spotykałam go w pracowni biologicznej, kiedy karmiłam moje muszki roztworem cukru albo liczyłam, ile owadów z prostymi i ile z pokręconymi skrzydełkami baraszkowało w probówkach.

Raz dodawałam właśnie w statystyce kilka kresek, kiedy ktoś stanął za mną i pochylił się nad moim ramieniem. Zamarłam, kiedy poczułam zapach wody toaletowej Piwiego.

- Bardzo skrupulatnie to robisz, Milu - powiedział z uznaniem. - Widać, że interesujesz się biologią.

Raczej młodymi stażystami, pomyślałam, bo tak naprawdę liczenie muszek wcale nie było pasjonujące. Ale czego nie robią kobiety, żeby znaleźć się w pobliżu faceta swoich marzeń!

I rzeczywiście powoli Piwi stawał się facetem moich marzeń, a przynajmniej od kilku nocy błdził w moich snach.

- Daj sobie z nim spokój - poradziła mi po przyjacielsku Kati. - Nauczyciele nie mają nic do szukania w snach uczniów!

Mama naprawdę chciała wziąć udział w pokazie fryzjerskim. Traktowała ten występ bardzo serio. A że Tina odeszła, nie pozostawało mi nic innego, jak samej zabrać się do roboty.

Obserwowałam tę sytuację z pewną dozą sceptycyzmu, bo oznaczało to naturalnie stres do szczęścia. Konkursowy weekend miałam sobie odpuścić. Nie miałam co nawet myśleć o jakichkolwiek planach.

Siedziałam przy stole w kuchni i obierałam jajka na sałatkę, kiedy mama wparowała do środka, rzuciła byle gdzie ciuchy i głośno wzdychając, opadła wykończona na krzesło.

- Muszę koniecznie zatrudnić nową fryzjerkę. Sama nie dam sobie rady. A Karin na dodatek spaprała pani Dombrowski trwała.

O kurczę, pani Dombrowski była żoną burmistrza naszego pięknego miasta. To oznaczało potencjalną utratę klientów.

- Właśnie przed premierą w teatrze! - westchnęła znowu mama. - Staralam się uratować, co tylko mogłam, wyciągnęłam jakoś ten mocny skręt, ale mimo wszystko wyglądała jak królewski pudel.

No fajnie. Czy da się to w ogóle kiedyś wyprasować?

- No, obym wygrała konkurs fryzjerski - powiedziała mama - Jeśli będziesz moją modelką.

- Cooo? - Chyba się przesłyszałam. - Ustaliłyśmy przecież, że członkowie rodziny nie biorą udziału w takich imprezach.

- Tak, tak, wiem! Ale muszę ćwiczyć, kompletnie wyszłam z wprawy, a nie mam odwagi próbować na obcych.

Przeraziłam się. Nie chciała ćwiczyć na obcych. To znaczyło, że chce mnie oszpecić!

- Nie możesz tego zrobić! - broniłam się rozpaczliwie, ale bezskutecznie.

- Nie wygłupiaj się. Znam twoje włosy. To nie jest dla mnie problem.

- Ale dla mnie jest! - wrzasnęłam. - Dla mnie to będzie problem, jak mi załatwisz włosy!

Teraz się obraziła. Zabrała swoje rzeczy i wyszła z kuchni mówiąc:

- Twoje zdanie o mnie jest bardzo budujące! No to w takim razie nie wyjedziesz na wakacje. Jak nie będę miała klientów, nie będzie też pieniędzy w kasie.

No super. To po prostu szantaż.

- To jest cios poniżej pasa! - zawołałam z a nią.

Rozczarowana spojrzałam na obrane w połowie jajko, które miałam w ręce. Czy nie byłam głupia, udając mamuszkę i pozwalając się jeszcze szantażować? Mogła sobie tę sałatkę wsadzić gdzieś. Wrzuciłam jajko z powrotem do miseczki, umyłam ręce i wyjęłam z szafy kurtkę. Potem wskoczyłam na rower i pojechałam do Kati.

Jej pokój znowu był wypełniony mgielką kadzidełek. Jak ona to wytrzymawała, jak mogła z tym zaduchu pracować i spać? Gdybym miała odrabiać lekcje otoczona zapachem róż i lawendy, nie mogłabym zebrać myśli.

Nalała zielonej herbaty do małych indyjskich czarek i usiadłyśmy na podłodze na wielkich, miękkich poduszkach. Jej pokój był cudowny. Było tu mnóstwo chustek i tkanin, małych rzeźbionych stolików i skrzyń, wszędzie stały świeczniki i ezoteryczne drobiazgi. Po prostu pokój czarownicy!

W moim pokoju było o wiele praktyczniej. Ale tak wolałam. Najważniejsze było biurko, w którym można upchnąć dużo rzeczy. Na blacie mieścił się komputer, który mama w końcu mi sprezentowała.

Poza tym miałam jeszcze kącik wypoczynkowy ze śmieszną, nowoczesną sofą, fotelem w kształcie banana i sztuczną palmą, na której gimnastykowała się moja małpka Bobo. Oczywiście pluszowa, bo żywe zwierzęta domowe nie były dla mojej mamy dość łatwe w utrzymaniu. Kiedy raz przyniosłam do domu kota znajde, mama chciała go wyrzucić przez okno i tylko mój gorzki płacz powstrzymał ją od tego.

- Nienawidzę tych bydlaków - powiedziała bardzo zdenerwowana. - Wszędzie skaczą i zostawiają kłaki. Mam w salonie dość roboty z włosami. Nie muszę ich mieć rano w maśle!

Podarowałam kotka sąsiadce, od czasu do czasu przychodziła mnie odwiedzić. Mama wyjaśniła mi swoją fobię na punkcie kotów później. Opowiedziała mi wtedy o przeżyciach z dzieciństwa:

- Nie mieliśmy dużo pieniędzy, a babcia podarowała nam pół kilo mięsa na gulasz. Już mi ślinka leciała. Ale zanim ugotowaliśmy je w niedzielę, zżarł je kot! Całe pół kilo mięsa... moja mama była bardzo wściekła, a ja taka rozczarowana... nigdy tego nie zapomnę!

I, jak widać, nigdy nie wybaczyła kotom.

- Chciałabyś coś zjeść? - spytała Kati, jakby czytając w moich myślach.

Pokręciłam głową.

- Nie, nie. Chciałam tylko trochę się u ciebie wyładować. Nie rób sobie kłopotu.

Przyniosła jednak kilka pysznych azjatyckich ciastek ryżowych, a kiedy je

chrupałam, byłam szczęśliwa, że mam taką dobrą przyjaciółkę.

- Wyobraź sobie - zwierzyłam się od razu - moja mama chce wziąć udział w konkursie fryzjerski.

- Przecież już często to robiła. - Kati nie widziała w tym żadnego problemu.

- Tak, ale nie byłam jej modelką!

- O kurczę! To rzeczywiście całkiem inna sprawa!

- Łatwo ci mówić. Zrzuń mi włosy i mnie skompromituje. Znam przecież swoją mamę. Ona nie przepuści żadnej okazji, żeby ze mnie zakpić.

Kati spojrzała na mnie, nic nie rozumiejąc. Od lat nie mogła rozgryźć mojej relacji z mamą. Mając wzorową rodzinę i delikatną mamę-czarownicę o sarnich oczach, nie mogła zrozumieć, co się u nas działo. Miała chyba wyobrażenie, że jestem trochę zanedbywana, bo na dużej przerwie dawała mi zawsze pyszną kanapkę. Była naprawdę solidarna czy chciała schunąć? Nieważne. Kanapki robione przez jej mamę były w każdym razie pierwsza klasa.

- Co ja mam teraz zrobić, Kati? - spytałam nieszczęśliwa. - Mama oczekuje, że poświęcę się dla jej biznesu.

Kati piła herbatę i milczała, zastanawiając się.

- Nie do końca rozumiem twój problem - powiedziała wreszcie. - Co złego jest w tym konkursie? W gruncie rzeczy to strasznie fajne. Robią ci odjazdowy makijaz i superelegancką fryzurę. Sama chciałabym wziąć w czymś takim udział.

Zaskoczyła mnie.

- Jesteś całkiem pewna?

- Jasne, dlaczego nie?

Roześmiałam się.

- No to możesz w tym uczestniczyć. Muszę tylko spytać mamę. Ucieszy się, że może uczesać kogoś z takimi długimi blond włosami. Będzie mogła wyczarować naprawdę skomplikowaną fryzurę.

- No to razem weźmiemy udział w konkursie - zaproponowała Kati.

Byłam zachwycona. Jak zrobimy to razem, to będzie oczywiście coś innego, nieo przykry obowiązek, ale dobra zabawa.

- A Hanna będzie się przyglądać i dopingować twój mamę!

- Bingo!

- Mamo - obwieściłam dobrą nowinę, wchodząc do domu - załatwiłam ci modelkę na pokaz.

Mama znowu leżała na sofie przed telewizorem i oglądała jakiś teleturniej.

- Modelkę? Załatwiłaś?

- Kati bardzo chce się poddać twojej stylizacji.

Mama usiadła.

- Kati?

- Jeśli ją weźmiesz, to ja też się na to piszę.

To ją bardzo ucieszyło.

- Masz naprawdę fajne przyjaciółki - stwierdziła.

Ach, miło było to słyszeć.

Przecież nigdy nie interesowała się moimi szkolnymi przyjaciółkami. Myślę, że właściwie w ogóle nie cierpiała dzieci. Tylko dla mnie robiła wyjątek, bo w jej oczach byłam raczej przyjaciółką, a nie córką. Nie miała żadnego faceta, z którym rozmawiała o codziennych problemach. Jako przedszkolak, a potem uczennica podstawówki najpierw tylko słuchałam, z wiekiem stawałam się coraz bardziej jej doradcą. Co w zasadzie mi nie przeszkadzało, ale trochę stresowało. Przede wszystkim dlatego, że mama jako mój doradca nie była odpowiednią osobą. Ale po to miałam Hannę i Kati. Dwie przyjaciółki to było absolutne szczęście. Odkąd je poznałam, własną sytuację

córki samotnie wychowującej matkę traktowałam z większym dystansem. Zdobyte na mamie doświadczenie przydawało się czasem w codziennym życiu. A więc wszystko w porządku.

Następnego ranka Hanna czekała na nas niespodzianką. Nasze autobusy przyjeżdżały niemal jednocześnie.

Złapałam ją i Kati jeszcze na rynku.

- Zgadnijcie, co tutaj mam - zawołała z przystanku, machając w powietrzu jakimś listem. - Z telewizji! Zaproszenie na casting! - Nie mogła zachować dla siebie treści.

- Na casting? - Na początku nie złapałam. - Jaki casting?

- No, na ten teleturniej nauczyciele-uczniowie. W naszym regionie tym projektem zajmuje się stacja NDR.

Powoli zaczęło mi świtać.

- Co to konkretnie znaczy?

- Jeśli dobrze zrozumiałam zapraszają najpierw całą masę drużyn szkolnych, żeby zobaczyć, która najlepiej wypadnie w telewizji. A potem wybiorą zespoły, które wezmą udział w konkursie.

- Nie wierzę - powiedziała całkiem osłupiała Kati. - Czy to znaczy, że zeczywiście weźmiecie udział w castingu?

Musiałam zachichotać, bo wyglądała jak niedźwiedź brunatny, który chce wyjaśnić, że jest niedźwiedziem polarnym.

- Dokładnie tak - roześmiałam się. - Chociaż brzmi to nieprawdopodobnie!

- To na pewno magia i czarodziejskie sztuczki! - Hanna zwróciła się do Kati. - Nie udawaj świętej! Po kryjomu odprawiłaś czar teleturnieju i komisja rekrutacyjna padła ofiarą twojego zaklęcia.

Chociaż oficjalnie rozwiązałyśmy nasz klub czarownic, nie ufałam Kati pod tym względem. W każdym razie nie dałabym sobie ręki uciąć, że od czasu do czasu nie stosuje magii, nie rzuca okazjonalnego czaru albo zaklęcia. W końcu była blisko źródła, bo jej mama miała fajny sklep ezoteryczny i sama cieszyła się w mieście słwą czarownicy. W każdym razie jeśli traktować poważnie gadanie Vanessy.

Zegar na ratuszu zaczął bić, co oznaczało, że obowiązki nas wzywają.

- Super! - powiedziałam. - Ale będzie zabawa! Pogadamy o tym na przerwie! Jak nie dodamy gazu, spóźnimy się na pierwszą lekcję.

Tego naprawdę nie potrzebowałam. Spóźnienie na matkę do Karzełka Titelitury pociągało za sobą nie tylko porządną nagane, ale także karną pracę domową/

- Punktualność jest grzecznością królów! - zwykł mawiać i oczywiście sam się ciągle spóźniał.

Wzięłyśmy nogi za pas, ale na próżno. Ostatnie uderzenie zegara dawno zabrzmiało, kiedy całkiem bez tchu wpadłyśmy do klasy z nadzieją, że Karzełka Titelitury jeszcze nie będzie.

Ale los znów spletał nam figła. Mały i wredny czał się za swoim stołem i patrzył na nas wybałuszonymi oczami, jakby chciał nas zniszczyć.

- Tak, tak, panie z klubu płatkarskiego. Znowu się zagadałyście czy trzy autobusy przypadkowo się spóźniły? - Jego ironiczny uśmiezek na wąskich wargach sprawiał, że naprawdę wyglądał jak karzełek z bajki, który złośliwie tańczy w okół ognia.

Zapowiadał się najwyższy stopień gotowości alarmowej. Trzeba było pokornie spuścić głowę i posypać ją popiołem.

Chciałam właśnie zwrócić wzrok w stronę brudnej podłogi, kiedy wystartował do mnie:

- Milu! Czekam na usprawiedliwienie. Zwykle jesteś taka wygadana.

Było jasne, że się na mnie wziął. Chociaż z matmy byłam całkiem dobra,

nienawidził mnie z powodu mojej "niewyparzonej gęby" i prawdopodobnie cierpiał strasznie duchowe męki, kiedy musiał pod moją klasówką postawić dobry albo bardzo dobry. Dlatego cieszyły go sytuacje, w których mógł mnie naprawdę poniżyć. Ach, Karzełku, kiedyś wyleję ci cały kubek wody na twoje ognisko i żarty się skończą! Czekał no tylko!

Ale teraz trzeba było ratować, co się jeszcze dało. Czas na usprawiedliwienie.

- Eee... bardzo przepraszam - wydusiłam z siebie - to się więcej nie zdarzy.

- To się więcej nie zdarzy? I myślisz, że sprawa jest załatwiona, tak?

Rzeczywiście tak myślałam. To przecież nie było takie znowu wilekie coś, tylko pięć minut spóźnienia.

Popatrzyłam na Krzełka z całą uprzejmością i odparłam:

- Tak, czy coś przemawia przeciwko temu?

W tej samej chwili poczułam łokieć Hanny między żebrami.

- Odwaliło sci? - Odwróciłam się i spojrzałam w jej przerażoną twarz. Co się stało?

Kati też trochę zbladła.

- Czy ja coś zrobiłam? - szepnęłam. - Powiedzcie mi, co zrobiłam? Co ja zrobiłam?

Ostry syk sprawił, że się odwróciłam.

Karzełek poniósł się zza biurka i stanął tuż za mną. A dokładniej, kiedy się odwróciłam, przede mną.

- Przeciwko temu - powiedział dobitnie, ważąc każde słowo - przeciwko temu przemawia fakt, że jesteś zatwardziała i w żanym razie nie okazujesz skruchy.

Skruchy? Ojej. A więc jednak mam posypać głowę popiołem albo zasuwać na klęczkach trzy razy wokół stołu! Ta myśl mnie rozbawiła i wywołała niezamierzony uśmiech na mojej twarzy.

- Nie śmieję się tak baezczelnie! - Na twarzy Karzełka pokazało się kilka czerwonych plam.

O rany, przecież nie śmiałam się z niego. Czy on wszystko musiał brać do siebie?

- Nie śmiałam się z pana, tylko... - usiłowałam wydobyć z siebie początek wyjaśnienia, ale natychmiast mi przerwał.

- Nie dyskutuję z tobą! Po lekcji dostaniesz specjalne zadanie domowe. - A do Hanny i Kati zwrócił się trochę łagodniej: - Idźcie na miejsca. Jeśli dzisiaj w jakikolwiek sposób przeszkodzicie mi w lekcji, dla was też znajdzie się zadanie specjalne.

To było naprawdę wredne! Czym sobie zasłużyłam na takie traktowanie? W końcu wszystkie trzy się spóźniłyśmy. Ale w tym momencie moje przyjaciółki sthórzyły. Przestała obowiązywać zasada: jedna za wszystkie, wszystkie za jedną. Żadna z nich nie czuła się w obowiązku stanąć po mojej stronie.

Kiedy zapytałam je później o to, Hanna powiedziała tylko:

- Chyba nie sądzisz, że na coś by się to zdało. To była część jego strategii. Mogłaś się nie odzywać. Trzeba znać granice.

O moich granicach przy odrabianiu zadań specjalnych oczywiście nikt nie pomyślał. Kiedy trzymałam w ręce dwie kartki zadań, które Karzełek wyznaczył jako karną pracę domową, stało się dla mnie jasne, że dzień mam z głowy. Będę nad nimi siedzieć ze trzy, cztery godziny.

I to żadne pocieszenie, że Hanna jako przewodnicząca klasy stwierdziła, że Karzełek nie powinien czegoś takiego robić. Jak zaproponowałam, żeby mu to powiedziała, naturalnie się nie zgodziła.

- On jest przecież beznadziejnym przypadkiem. Wszystko, co się przeciwko niemu powie, jeszcze pogarsza sytuację. Chyba nie chcemy ryzykować?

Oczywiście, że nie, bo jak zwykle dotknęłoby to mnie!

Przynajmniej kiedy poszłam nakarmić moje muszki, spotkałam w pracowni biologicznej Pita Wintera.

Oczywiście od razu poprawiło to mój mroczny nastrój. Dał mi dwie nowe parki muszek owocowych.

- To jest odmiana *Drosophila melanogaster* o prostych skrzydełkach, a to - ta ze zmienionym genem, prowadzącym do pokręconych skrzydełek, *Drosophila melanogaster curly*. Nie możesz mieszać ich ze sobą, bo chcemy wiedzieć, czy ich potomstwo wygląda tak samo jak rodzice. A więc jedne mają proste skrzydełka, a drugie pokręcone.

Nakapałam jeszcze trochę roztworu z pożywką do probówek, w krótkich siedziały parki muszek, i odstawiłam je na słoiki.

- Pani Kempinski opowiadała, że organizowała w waszej klasie spotkania towarzyskie z rodzicami. Myślisz, że w jej zastępstwie mógłbym ich kiedyś zaprosić? Bardzo chciałbym poznać waszych rodziców, pozatym jest parę spraw do omówienia.

Podniosłam wzrok znad probówek. Nie, jak słodko pytał mnie, czy ma zorganizować spotkanie z rodzicami.

- Jasne - odparłam spontanicznie. - Mama mówi, że spotkania z rodzicami są naprawdę fajne. Pan też na pewno się zabawi.

- No to tak właśnie zrobimy - uśmiechnął się. - Dalej, zmykaj stąd! Koniec zakuwania i tej żalostnej erudycji. Idź dzisiaj z przyjaciółkami na słońce. Jesteś troszkę blada.

Zamknął pracownię biologiczną i pomachał mi na pożegnanie, odchodząc w kierunku pokoju nauczycielskiego, a ja zbiegłam schodami na podwórko szkolne.

O mój Bże, jaki on był miłutki! I lubił mnie! Było całkiem jasne, że mnie lubił, inaczej dlaczego miałby być zainteresowany moim dobrym samopoczuciem? Zeskoczyłam ostatnie trzy stopnie na raz i popędziłam na słońce, które zaordynował mi Piwi.

Radość nie trwała jednak długo. Bo wkrótce karna praca domowa zadana przez Karzełka zagnała mnie do biurka. Oczywiście mogłam przewidzieć jego gniew, ale, jak często bywa w moim życiu, poniosło mnie. Może powinienem wziąć kilka lekcji jazdy konnej jak Vanessa, żeby nauczyć się trzymać język na wodzy. W każdym razie w stosunku do tak wrażliwych nauczycieli jak Karzełek i Titelitury. Ach, Piwi. On był z całkiem innej gliny. Przy nim moje poczucie humoru mogło się naprawdę wyżyć. Był błyskotliwy i znał się na żartach, po prostu absolutnie w porządku.

Moja komórka zapiszczała. SMS od Hanny.

CO ROBIMY Z TELETURNIEJEM? JAK TO POWIEMY PIWIEMU?
POJDIEMY JUTRO PO CHORZE NA KAWĘ I OMOWIMY TO?

JASNE - odesemesowałam. Musiałyśmy opracować dobrą taktykę, żeby całe przedsięwzięcie od początku nie spęzło na niczym

Chciałam właśnie odłożyć komórkę i wrócić do zadań, kiedy przyszedł mi do głowy śmiały pomysł. SMS... co za cudowny wynalazek, żeby przekazać komuś, co się do niego czuje. Pochwalić kogoś, wyrazić swój podziw albo po prostu napisać coś miłego. Kto wie, czy Hannie udałby się zdobyć Branka bez SMS-ów! Musiałam się tylko dowiedzieć, jak ustawić telefon, żeby odbiorca nie rozpoznał nadawcy. Bo to, co chciałam wysłać, mogłam zrobić tylko anonimowo. Nie dlatego, że było to coś niemilego, wręcz przeciwnie, było to zbyt miłe! I dlatego, że nie chciałam wysłać tej wiadomości przyjaciółce ani kumplowi, tylko nauczycielowi! Boskiemu Piwiemu!

Grzebałam w szufladzie biurka w poszukiwaniu instrukcji obsługi telefonu. W końcu ją znalazłam, między kartkami pocztowymi, zdjęciami z wakacji, mazakami, wycinkami z gazet i paczuszkami gumy do żucia. Ach, są odpowiednie wskazówki.

Doskonale! Teraz tylko musiałam napisać coś naprawdę odjazdowego. Jakiś fajny tekst albo wiersz... Raczej nie byłam poetką. Tak ogólnie muzy poskapiły mi talentów, kiedy przychodziłam na świat. No ale przynajmniej względnie przywoicie wyglądałam. Nie miałam krzywego nosa, odstających uszu ani koślawych nóg. Może trochę za duże usta, ale pasowały do mnie! Nie przeszkadzało mi więc, że nie byłam specjalnie utalentowana artystycznie. Za to moje poczucie rzeczywistości było dość dobrze wykształcone i dawałam sobie niezłe radę z przedmiotami ścisłymi. Piwi nie całkiem mi leżał, jeśli chodzi o niemiecki, ale z biologii absolutnie tak.

No dobrze, co mogę napisać facetowi, który mi się podoba i który przypadkiem jest moim nauczycielem?

HI, JESTES ODJAZDOWY! KIEDY POJDIEMY RAZEM NA KAWĘ? No tak, z Piwim tak nie mogłam. A więc zero kawy. HI, JESTES ODJAZDOWY! Czy mogłam się tak po prostu zwracać do niego na ty? Raczej nie. HI, JEST PAN ODJAZDOWY! Brzmi kretyńsko. Może lepiej po angilesku, tam nie ma tego problemu z formą. HI, YOU ARE GROOVY! I AM YOUR FAN... LOVE IS IN THE AIR... Mila, nie wygłupiaj się, ostrzegł mnie mój głos wewnętrzny. Ale co ja mogłam poradzić, że na myśl o nim w moich uszach rozbrzmiewały wszelkie możliwe piosenki o miłości?!

Komórki są takie cierpliwe. Skasować i od nowa. A jednak wierszyk? Może tak:
NAUCZYCIEL NAJFAJNIEJSZY,
CALA SZKOLA DON SIE WDZIECZY.
SIEDZI SOBIE I PRACUJE,
NIE WIE KTO GO ADORUJE.
NIEZNANY FAN!

Hm. Jeszcze raz krytycznie przeczytałam mój liryczny majsterszyk. Nieee, to były prymitywne rymy.

To musiało być coś absolutnie niepowtarzalnego, coś, co by go powaliło na kolana. Powinno go po prostu zatkać z wrażenia. I miał się bardzo zainteresować nieznanym fanem. A więc mną. Miał z czasem czekać z utęsknieniem na moje SMS-y, tak jak kiedyś Hanna czekała na wiadomości od swojego tajemniczego wielbiciela. Ma się czuć jak... no jak? Jak...? Jak Róża Małego Księcia! Tak, właśnie tak! Bez moich SMS-ów jego życie ma być nudne, szare i smutne. Zamiasto go podlewać, będę mu codziennie przysyłać pozdrowienia. Moje SMS-y rano zastąpią mu wschód słońca, a o zmierzchu będą wieczorną modlitwą.

Dokładnie tak ma się stać!

Gdybym była jeszcze czarownicą z naszego klubu i wierzyła w te brednie, pewnie znalazłabym inny sposób, żeby spętać jego srece, ale w tej sytuacji wołałam skorzystać z nowoczesnej technologii. Co już raz okazało się dobre, powinno zadziałać również za drugim razem!

Skasowałam ten głupi wierszyk, sięgnęłam po *Małego Księcia* i wyszukałam odpowiedni cytat.

Było tam takie miejsce z Lisem, który cieszył się zawsze na myśliwych.. albo... nie... Myśliwi i radość to jakoś do siebie nie pasowało. Ach, było tak, jak lis cieszył się na Małego Księcia. Na jego włosy, które były jak łan zboża... tak, Mały Książę przychodził zawsze o tej samej porze. Z powodu radości oczekiwania. Rzeczywiście, ja też się tak czułam. Kiedy wiedziałam, że na trzeciej lekcji mam biologię, to już na drugiej zaczynałam się cieszyć na Piwiego. Im bliżej było przerwy, tym bardziej się niecierpliwiłam, a kiedy zadzwonił dzwonek na lekcję, drżałam ze zdenerwowania, które ustępowało dopiero wtedy, gdy Pit Winter wszedł do klasy. Nie miałam wątpliwości: ja byłam Lisem, a Piwi moim Małym Księciem. Napisałam tak:

OSWOILES MNIE. JESTES MOIM KSIECIEM, KAZDEGO DNIA

CZEKAM NA CIEBIE I DRZE Z RADOSCI. TWOJ LIS

Człkiem mi się spodobało. Brzmiało niesamowicie poetycko i tajemniczo. Jako nauczyciel niemieckiego powinien to docenić.

Z drugiej strony - od razu taki SMS? Przecież to plagiat! Może jednak trochę prościej, za to coś w własnego ogródka. Biologiczno-dynamicznie - to musiało pasować do nauczyciela biologii.

Ale jak mogłam mu wysłać wzór chemiczny albo równanie matematyczne! A właściwie... dlaczego nie? Równanie z dwiema niewiadomymi - to było całkiem niezłe. $X + Y = \text{LOVE!}$ No, jeśli to nie było odjazdowe... Moje skromne możliwości pozwoliły mi wyrazić to, co czułam. Dalej, wysłałam!

Następny problem: do tego potrzebny mi numer Piwiego. Zastanowiłam się. Jak mogę go zdobyć? A więc najpierw zapiszę, a potem zadzwonię do Hanny. Może jako przewodnicząca klasy będzie wiedzieć, jak uzyskać numer telefonu nauczyciela.

Hanna wiedziała.

- Wpisałam jego numer na listę klasową. Pani Kempinski dała mi go, zanim poszła na urlop macierzyński. Sama nie wiem, co miała na myśli. Po co ci właściwie ten numer?

Ech, nie liczyłam się z tym, że zada mi to pytanie.

- Eee... moje muszki kompletnie zwariowały, potrzebuję koniecznie jego rady.

To był naprawdę ważny powód. Trudno było się zorientować, że to kłamstwo. Hanna oczywiście też nie zauważyła.

- Na pewno to zrozumie - powiedziała. - Zaraz sprawdzę.

Chwilę później podała mi numer.

- Dzięki, wielkie dzięki, jesteś prawdziwą przyjaciółką!

Zdziwiła się trochę taką wylewnością. Nie mogła wiedzieć, jak mnie uszczęśliwiła. No i poszedł - pierwszy potajemny SMS do Pita Wintera, najśladszego stażysty na świecie.

ROZDZIAŁ CZWARTY: Kosmate sprawy

Piwi poszedł za moją radą. Już następnego dnia rozdał nam zaproszenia na spotkanie z rodzicami. Naprawdę się postarał, grafika komputerowa i takie tam. Mama na pewno pójdzie. Właściwie była osobą towarzyską, wychodziłaby gdzieś częściej, gdyby praca w salonie nie była taka męcząca.

Podczas lekcji niemieckiego usiłowałam zbadać, jak zareagował na mojego SMS-a. Ale oczywiście nic nie dało się zauważyć. Nie mogłam się więc dowiedzieć, czy wiązał wiadomość ze mną. Ale jakby mógł. W końcu SMS był anonimowy.

Chociaż nie byłam tego taka pewna. W nocy obudziłam się z okropną myślą, że mój numer jednak jakoś się wyświetlił. I w środku nocy jeszcze raz dokładnie przeczytałam instrukcję obsługi i skontrolowałam każdy kolejny krok na komórce. Dopiero kiedy byłam absolutnie przekonana, że zrobiłam wszystko jak trzeba i nie popełniłam żadnych nieprzewidzianych błędów, zasnąłam ponownie.

Byłoby okropnie, gdyby Pit Winter odkryłby we mnie autorkę tego miłosnego wyznania.

Ale skoro jego dzisiejsze reakcje były całkiem normalne, wszystko było chyba w porządku i niepotrzebnie się martwiłam.

Następne lekcje jakoś mi zeszły, bo skupiłam się bardziej na spotkaniu twarzą w twarz z moimi przyjaciółkami. Uważałam, że zaproszenie na casting do teleturnieju jest fascynujące i najchętniej natychmiast opowiedziałabym o tym Piwiemu.

Podczas próby chóru cały czas szeptałyśmy, tak że Old MacDonald w końcu przerwał akompaniament na fortepianie i zagrzmiał:

- Hanna, Miła i Kati! Możecie dalej gadać za drzwiami! To nie są zajęcia obowiązkowe, nie musicie znosić mnie, a ja was, zrozumiano? Albo same wyjdziecie, albo ja was wywalę, jak się nie zamkniecie!

Spojrzałyśmy po sobie przerażone. O w mordę, ale był dzisiaj cięty. Zanim cokolwiek powiedziałyśmy, zadzwoniła jego komórka. Przy czym komórki były zabronione w szkole i podczas lekcji musiały być wyłączone. Te należące do nauczycieli też. Ale on się tym, jak widać, nie przejmował. Na naszych oczach wyciągnął telefon z torby i bez żadnych skrępowań odebrał.

- Tak? Naprawdę chłopiec? Tak, tak, wielkie dzięki, naprawdę dziękuję bardzo... i... pozdrowienia. Tak... Kocham ją... niech pani jej powie, że ją Kocham.

Przez chwilę stał tak pogrążony w myślach i gapił się na komórkę w dłoni.

Cały chór przyglądał się zafascynowany temu przedstawieniu jednego aktora, które właśnie rozgrywało się na naszych oczach.

Niech pani jej powie, że ją Kocham! O kurczę, co to musiała być za miłość, którą tak śmiało potwierdzał w obecności trzydziestu uczniów!

Ale zanim mogłam dalej snuć przypuszczenia, Hanna walnęła mnie w bok:

- Dalej, śpiewamy *Happy birthday!*

Spojrzałam na nią zdziwiona.

- Co? To on ma urodziny?

- Nie on! Jego dziecko! Został ojcem!!!

- Naprawdę? Pani Kempinski urodziła dziecko?

- Tak, nie słyszałaś? Właśnie się dowiedział. Chłopca! Dalej, śpiewamy. Raz, dwa, trzy...

I zaintonowała na cały regulator:

- Happy birthday to you, Happy birthday to you, Happy birthday dear baby, Happy birthday to you!

Wszyscy się włączyli, a kiedy potem otoczyliśmy Old MacDonalda, krzyżąc: "Gratulacje!", był bardzo wzruszony.

Oczywiście chcieliśmy się dowiedzieć czegoś więcej, ale mógł powiedzieć tylko to, co na życzenie pani Kempinski powiedziała mu położna. Chłopiec przyszedł na świat pół godziny temu i ważył 3800 gramów.

e informacje musieliśmy z niego z trudem wycisnąć, bo był całkiem zakręcony. Kurczę, faceci byli tak przejęci, jak zostawali ojcami!

O chórze już nie było mowy.

- Nie chce pan pojechać do szpitala? - zaproponowała Hanna. - Z takiej okazji może pan spokojnie odwołać próbę.

- Naprawdę tak sądzisz? - spytał i spojrzał na Hannę z wdzięcznością.

- No jasne! - zawołaliśmy wszyscy.

Hanna zebrała od każdego trochę pieniędzy i pobiegła szybko do kwaciarni na rogu. Wróciła z pięknym bukietem, który wręczyła Old MacDonaldowi z gratulacjami od nas, zanim wszedł do auta i popędził w kierunku szpitala.

- Jeki to słodkie! - powiedziałam trochę rozbawiona. - Właściwie to wszystkie trzy powinnyśmy zostać matkami chrzestnymi! - Spojrzałyśmy na siebie porozumiewawczo i ucieszyłyśmy się z tego, że skojarzyłyśmy tę parę.

- Dobrze nam to wyszło!

Przy kawie z mlekiem zastanawiałyśmy się, jak najlepiej sprzedać Piwiemu i naszym klasowym kolegom tę historię z teleturniejem.

- Jestem zdania, że powinnyśmy najpierw opowiedzieć o tym Pitowi Winterowi.

Jeśli uda się nam go pozyskać, to sprawa jest załatwiona. Na pewno przekona Markusa.

Zgodziłam się z Hanną, chociaż byłam pewna, że Markusa nie trzeba będzie specjalnie przekonywać.

- Ale jak do niego dotrzemy? - spytałam.
- Mogłybyśmy do niego zadzwonić i się z nim umówić.
- Tak, może jeszcze jest w szkole i mógłby tu przyjść.

To był genialny pomysł. I rzeczywiście miałyśmy szczęście.

Hanna zadzwonił do niego na komórkę. Wprawdzie już wyszedł ze szkoły, ale był jeszcze w mieście, a skoro Hanna opisała naszą rozmowę jako niecierpiącą zwłoki, wyraził gotowość spotkania się w kawiarni.

Pojawił się chwilę później.

Był trochę błądy i zmęczony. Lektury musiały go porządnie zmordować.

Wiem jedno, nigdy nie chciałam zostać nauczycielką. Za żadne pieniądze nie użerałabym się z dziećmi obcych ludzi.

- No i jak, trzy gracje, co tak pilnego macie ze mną do omówienia, że nie może to poczekać do jutra? - spytał i usiadł na wolnym krześle.

- Możemy zamówić dla pana kawę? - Hanna umiejętnie udawała światową damę. Przyjął propozycję, okazując wdzięczność.

Potem wszystko poszło bardzo szybko. Hanna nie owijała sprawy w bawelnę, tylko po prostu położyła przed nim list z zaproszeniem na casting. Oczywiście nie od razu wszystko do niego dotarło, wymagało to jeszcze kilku wyjaśnień, ale potem dość szybko załapał, o co chodzi. Był naprawdę zachwycony.

- Świetnie - powiedział. - Super to zorganizowałyście. Jasne, że weźmiemy w tym udział. Nawet jeśli nie wygramy, to z pewnością będzie to wspaniałe doświadczenie. I... miło z waszej strony, że macie do mnie tyle zaufania.

No, poszło lepiej, niż się spodziewałam.

- A Markus? - spytałam. - Uważa pan, że słusznie zgłosiłyśmy Markusa? A jeśli nie będzie chciał wystąpić ze mną i z Hanną?

- Ach, to on jeszcze nic nie wie o swoim szczęściu? - Piwi spojrzał na mnie.

Pokręciłam głową i w poczuciu winy mieszałam łyżeczką w swojej filiżance.

- Neeee, właściwie nie.

- Nie martwcie się tym - od razu podniósł nas na duchu. - Zapytam go. O ile znam Markusa, da się namówić na każdą przygodę.

Ja też tak sądziłam i na tym sprawa się zamykała.

Kiedy szłyśmy do rynku na nasze przystanki autobusowe, zachwycaliśmy się głośno Pitem Winterem i doszłyśmy do jednomyślnego wniosku, że jest najfajniejszym nauczycielem ze wszystkich w szkole.

Jak tylko przyszedłam do domu, napisałam do niego SMS-a. Zaopatrzyłam się wcześniej w kilka czasopism dla dziewcząt i wynotowałam sobie z nich kilka naprawdę odjazdowych tekstów. Po co wysilać mózg, jeśli inni zrobili to już za nas? Wybranie z oferty odpowiednich tekstów było również kreatywnym zadaniem. W każdym razie teraz miałam już dosyć materiału, żeby rano, w południe i wieczorem rozpieszczać go swoimi słodkimi SMS-ami.

O Boże, jaki był dzisiaj znowu kochany! Od razu przyszedł do nas do kawiarni i tak na luzie wypił z nami kawę! A jak się do mnie uśmiechał i jak nagle odreagował zmęczenie i stres!

Jasne, dla Hanny i Kati też był uprzejmy, ale dla mnie, tego byłam pewna, mnie poświęcał szczególną uwagę. Miła, odezwał się mój głos wewnętrzny, ale od razu go zgasiłam:

- Nie, nie wmawiam sobie tego! Każdy przecież widzi, że on mnie lubi.

Wieczorem mama była całkiem wykończona i spytała, czy po kolacji miałabym ochotę na kilka seansów w saunie. Przyniosła z tureckiego bistra zestaw sałatek i do tego świeżą pitę. Zaniosłyśmy to do salonu przed telewizor i podczas jedzenia oglądałyśmy *Milionerów*.

Oczywiście od razu opowiedziałam jej o naszym castingu. Bardzo jej się to spodobało.

- Trzymam za was kciuki. To miło ze strony waszego nauczyciela, że weźmie z wami udział w teleturnieju i nie obawia się kompromitacji.

- Kompromitacja! Nie z Pitem Winterem! On jest bardzo mądry!

- No, poznam go wkrótce na spotkaniu z rodzicami. - Mama nalała sobie trochę czerwonego wina i rozkoszowała się jego smakiem. Westchnęła. - Po pokazie muszę koniecznie zatrudnić fryzjerkę na miejsce Tiny. Sama już nie daję rady.

Spojrzała na mnie.

- Ach, czy mogłabyś jutro wieczorem przyjść do salonu razem z Kati? Chciałabym trochę poprobować na jej włosach.

Czsu było mało, więc złapałam za komórkę, żeby szybko spytać Kati. Na szczęście nie miała na jurto żadnych planów i umówiłyśmy się.

Mama się ucieszyła, a kiedy sauna była już nagrzana, postanowiłyśmy się wypocić dla relaksu.

- Mamo? Czy mój ojciec był twoją pierwszą miłością?

Leżałyśmy podczas drugiego seansu na górnych ławkach i pot nas kapał, a zaskoczony chrząknięcie mamy świadczyło o tym, że nie było to odpowiednie pytanie. Co ona sobie mogła o mnie pomyśleć! Zsunęłam się piętro niżej i dla odwrócenia uwagi polałam kamienie dwoma chochelkami pachnącego naparu. Z sykiem otoczyła nas para. Mama zakaszła.

- Pierwsza miłość? - powiedziała potem i przekręciła się powoli na brzuch. - Nie, twój ojciec nie był moją pierwszą miłością.

- Można wiedzieć, kto był tym szczęśliwcem?

Usiadłam i podkurczyłam nogi. Mama nadal leżała na brzuchu, głowę oparła na skrzyżowanych rękach. Westchnęła cichutko. Potem powiedziała rozmarzona:

- Miałam szesnaście lat, a on był naszym nauczycielem tańca...

Nauczycielem? Czy powiedziała "nauczycielem"? Jakże to ciekawe!

Od razu zaczęłam wyciągać z niej dalsze szczegóły.

- Twoim nauczycielem? - spytałam.

- Moim nauczycielem tańca. Prowadził nasz kurs. Jak się tak dobrze zastanowię, to była dość dziwna historia. Do dziś nie rozumiem, co on takiego widział właśnie we mnie. Na kursie było dużo starszych dziewczyn, o wiele ładniejszych ode mnie. Ale on chciał tylko ze mną pokazywać dany taniec, a kiedy po lekcji szliśmy jeszcze do jakiegoś lokalu, zawsze się do mnie przysiadł.

- I... pocałował cię? - chciałam z niej wycisnąć intymniejsze detale.

- No jasne! Było bardzo romantycznie. Po imprezie przy świecach. Lało jak z cebra i zaoferował się, że odwiezie trzy osoby do domu. A los chciał, żebym była ostatnią, którą miał wysadzić.

Aha, pomyślałam sobie, stary numer.

- I rzucił się na ciebie od razu w samochodzie? - wyciągnęłam wniosek, nie robiąc sobie złudzeń.

- No, nie całkiem się rzucił. Powiedział, że jestem taka słodka i niewinna i on nic nie może poradzić na to, że się we mnie zakochał. I spytał, czy ja też nie mogłabym go trochę polubić... - Mama wydawała się być trochę zawstydzona. - No i oczywiście

mogłam. I to nie tylko polubić. Byłam w nim zakochana po uszy.

No to fajnie. Dalszy ciąg był raczej jasny.

- A więc nie rzucił się na ciebie, tylko pocałował za twoją zgodą. W samochodzie, na rogu waszej ulicy. Zgadza się?

Mama podniosła głowę i spojrzała na mnie zdziwiona.

- Tak, dokładnie tak było. Skąd wiesz?

Wzruszyłam ramionami.

- Intuicja! - Nie musiałam jej zdradzać, że w amerykańskich serialach tasiemcach, które czasami oglądałam, też tak się działo. Kto wie, czy ni przyćmiły one wspomnienia tego niepowtarzalnego przeżycia.

- A co było z wami potem? - spytałam z ciekawością.

Opowiedziała, że jej nauczyciel tańca od tamtej chwili spotykał się z nią potajemnie.

- Dlaczego potajemnie? - chciałam się dowiedzieć.

- Miał dwadzieścia osiem lat, a ja szesnaście. I byłam uczennicą. Jego szef, właściciel szkoły tańca, zabronił nauczycielom romansów z uczennicami, a on nie chciał ryzykować utraty pracy.

Brzmiało to niezwykle pasjonująco.

- I pomimo to się z tobą spotykał? No to musiał być w tobie niesamowicie zakochany.

- A ja w nim. - Mama przekręciła się z powrotem na plecy. - To był burzliwy romans pełen sekretów, miłości i bólu. Nigdy go nie zapomnę, ale z perspektywy czasu sądzę, że to nie był porządek! Wykorzystał mój brak doświadczenia i jako nauczyciel, nigdy nie powinien zadawać się z uczennicą!

Jeszcze raz połałam kamienie naparem, otaczając nas mgiełką pary, bo mama nie musiała przecież koniecznie zobaczyć rozczarowania na mojej twarzy. Wobec sytuacji z Piwim wolałabym, żeby nie wypowiedziała tych ostatnich zdań.

- No i jak się skończyło? - spytałam jednak.

- Otwarto drugą szkołę tańca w innym mieście i powierzono mu kierownictwo.

Wyprowadził się i pół roku później dostałam od niego zawiadomienie i ślubie. A przysięgaliśmy sobie na pożegnanie wieczną miłość i wierność.

Biedna mama. Miała wrażenie, jakby nadal cierpiała z tego powodu.

Wstałam.

- Mam dość. Idę pod prysznic.

Kiedy lodowata woda oblewała moje plecy, szumiąc niczym wodospad, uświadomiłam sobie z przerażeniem siłę swojej miłości do Piwiego. Nie chciałam, żeby przeze mnie stracił swoją pracę! Ale tak bardzo go kochałam i, jak się wydawało, on też coś do mnie czuł. Dlaczego niby miałby się mną interesować? Nie miał przecież żadnego powodu, żeby być dla mnie takim miłym i pomagać mi z muszkami. Na pewno nie każdemu, kot wpadł do stawu, pożyczylby swoją bluzę. To było coś więcej niż zwykła uprzejmość. Drżąc, zakręciłam prysznic.

Co za pogmatwana sytuacja! Jakie niepokojące podobieństwa! Czy mama nie mogła przeżyć normalnej poerwszej miłości? Do jakiegoś chłopca w swoim wieku albo z klubu sportowego? Czy takie zamiowanie do starszych facetów było dziedziczne?

Wytarłam się i położyłam zawinięta w ciepły szlafrok w naszym kąciek wypoczynkowym. Tutaj, na pokrytym materacami podeście, czasami sypiałyśmy we trzy, kiedy nocowały u mnie moje przyjaciółki.

Mama też wyszła z sauny, wzięła prysznic i położyła się obok mnie.

- Zakochałaś się? - spytała niespodziewanie i bardzo bezpośrednio.

Milczałam zakłopotana. Mam jej powiedzieć? No dobrze.

- Tak, obawiam się, że tak.

- Obawiasz się? Coś nie w porządku z tym facetem?

O kurczę. Żeby tylko teraz nie zgłębiać tematu.

- Nie, nie. Wszystko w porządku. Tylko... ach, nie wiem, czy on też mnie kocha.

- No tak - mama spojrzała na mnie ze współczuciem - sama musisz do tego dojść.

Nie mogę ci pomóc.

Potem chwyciła jakąś książkę i zaczęła czytać.

- Ach, skocz i przynieś sok pomarańczowy - powiedziała po chwili.

I znowu udawałam służącą.

Lekcja niemieckiego następnego ranka przebiegała dość haotycznie. Gdy tylko Pit Winter opowiedział o teleturnieju i castingu, i powiedział, że Hanna, Markus i ja weźmiemy w nim udział, Vanessa wyszła z siebie.

- Dlaczego Hanna i Miła? - wrzasnęła. Upierała się, że jest dużo lepszą uczennicą niż my i zespół miałby większe szanse, gdyby to ona pojechała na casting. - Poza tym mam doświadczenie z telewizją. Grałam kiedyś w filmie o jeździectwie.

No popatrz tylko. W jaki sposób miałyby jej się to przydać podczas teleturnieju, pozostało dla mnie zagadką. Uważałam, że zachowuje się żałośnie.

Piwi chyba też tak sądził, ale gdy jeszcze się zastanawiał, co ma jej odpowiedzieć, Markus przeszedł już do czynu.

- To jest teleturniej - powiedział sucho - a nie wystawa rolnicza. Kozy nie mają tam nic do szukania.

To było dobre. Podskoczyła i rzuciłaby się na Markusa, gdyby Piwi nie stanął w przejściu dzielącym ich ławki.

- Nie kłóćcie się - powiedział lekko podenerwowanym tonem. - Hanna i Miła wpadły na pomysł, żeby wysłać zgłoszenie, więc to sprawiedliwe, żeby one pojechały. A ja uważam, że to wszystko jest bardzo ciekawe i dlatego w tym uczestniczę.

Jasne, że Markus musiał dorzucić swoje trzy grosze:

- A kto mógłby lepiej reprezentować męską część klasy niż ja?

- Macho! - zawołały niektóre dziewczyny, ale zostały wygwizdane przez chłopaków, lubiących Markusa.

Vanessa wypadła z gry i to ją strasznie wkurzyło. Jej twarz zrobiła się tak pomarańczowoczerwona jak jej włosy, kiedy syknęła jak żmija:

- No, skoro mnie nie potrzebujecie. Beze mnie na pewno nie przebrniecie nawet przez casting!

Tę uwagę Piwi skrytykował:

- Vanessa, nie okazujesz solidarności. Nawet jeśli nie bierze się w czymś udziału, trzeba trzymać za innych kciuki.

Och, chyba nie znał Vanessy. Solidarność była dla niej nieznanym pojęciem. Ona raczej zastawiłaby sidła, wylała rozpuszczone mydło, wykopała wilczy dół najerzonymi ostrymi dzidami, żeby utrudnić nam drogę do konkursu.

Hanna i Kati podzielały moje zdanie, kiedy rozmawiałam z nimi o tym na przerwie.

- Kompletnie jej odbiło - powiedziała Kati.

- Założę się, że jest zakochana w Picie Winterze i zazdrosna, bo on jedzie do studia telewizyjnego ze mną i Miłą.

Prawdopodobnie miała rację, ale nie podobało mi się wcale to, co powiedziała.

- Jak zauważyłaś, że Vanessa może być zakochana w Piwim? - spytałam ostrożnie.

- No przecież nawet ślepy to zauważy. Zawsze się na niego rzuca. Nie zauważyłaś, że bardzo powoli pakuje swoje rzeczy, jak mamy ostatnią lekcję z panem Winterem? A po lekcjach pyta go zawsze o jakiś bzdury, żeby tylko się do niego zbliżyć. Dlaczego wyciera tablicę, kiedy wszyscy już wyjdą z klasy?

Kati też tak myślała:

- Trzeba być naprawdę ślepy, żeby tego nie zauważyć. Gdyby miał aktówkę, to by

ją za nim nosiła.

Rzeczywiście? Sama nawet nie zauważyłam tego ekstremalnego zachowania Vanessy. To znaczy, czasami tak, bo ja też szukałam bliskości Piwiego. Teraz jednak musiałam się mieć na baczności. Nie chciałam podpaść tak krytycznym obserwatorom.

- W każdym razie moim zdaniem to super, że Markus chce wziąć udział w castingu i długo się nie patyczkował - powiedziała Hanna. - Nie spodziewałabym się tego po nim.

Ja jednak byłam innego zdania. To jasne, że poczuł się mile połączony.

- Uważam, że to super, że Direx pozwolił nam jechać w przyszłym tygodniu na casting do Hanoweru. W każdym razie nie będziemy mieli lekcji - powiedziałam, żeby oderwać Hannę od tematu Markusa. Kto wie, dokąd by to zaprowadziło. Miałam ostatnio przeczucie, że planowała coś między mną a nim. Stara swatka!

- Pit Winter powiedział, że Direx był dumny, że się zakwalifikowaliśmy. I wysłała nas jako oficjalnych reprezentantów szkoły.

- W każdym razie to będzie zabawniejsze niż klasówka z matmy u Karzelka Titelitury - powiedziała Hanna.

Tylko Kati była trochę smutna, że nie mogła z nami jechać. Dobrze że pokaz mamy trochę ją rozerwie.

Wieczorem Kati przyszła do salonu mamy. Właśnie zamiatalam włosy, kiedy pojawiła się w drzwiach.

Wpuściłam ją do środka i mama natychmiast się na nią rzuciła.

- Usiądź, Kati - Wcisnęła moją przyjaciółkę w fotel fryzjerski i zawiązała jej pelerynkę.

Poszukała jakiejś szczotki i przeczesała jej długie blond włosy.

- Milu, przynieś mi bardzo dużo klamerki i szpilek do włosów, i katalog fryzur, który leży koło kasy. Ten z napisem *Fryzury wieczorowe*.

Pospieszyłam się, żeby spełnić jej prośbę.

- Popatrz, Kati - powiedziała, kiedy wyrwała mi z rąk katalog i otworzyła go przed Kati. - Myślałam o tej fryzurze. Albo o tej. Masz tak dużo włosów i takie grube, to by na pewno świetnie wyglądało.

Podniosła większą część włosów Kati z tyłu głowy i wyciągnęła na twarz kilka cienkich pasemek.

- Te zakręcimy, a z tyłu zaplecimy warkoczyki i zostawimy wystające końce włosów - jak wachlarze. To ostatni krzyk mody. Trochę z tym roboty, ale efekt murowany.

- A co właściwie chcesz zrobić ze mną? - spytałam mimochodem. Też się troszeczkę zainteresowałam, co ma zamiar namieszać z moimi włosami.

- Nie zastanawiałam się nad tym. Najpierw uczeszę Kati. Ty mi nie uciekniesz.

A więc jeszcze trochę posprzątałam, potem usiadłam na fotelu obok i przyglądałam się, jak mama wyczarowuje na głowie Kati absolutnie fantastyczną konstrukcję.

- Teraz jazda na dyskotekę! - zawołałam zachwycona. - Kati, dzisiaj byłabyś gwiazdą imprezy!

Kati i mama podziękowały sobie nawzajem, a potem odwiozłyśmy moją przyjaciółkę do domu.

- Jak ci się tak uda w niedzielę, to złoty medal masz już w kieszeni - pochwaliłam mamę.

A to na pewno w stu procentach nadrobiłoby obciach związany z nieudaną trwałą pani Dombrowski. Co oznaczałoby nowych klientów i pieniądze w kasie. Letni urlop byłby uratowany.

Następnego dnia Pit Winter pokazał nam kartkę od pani Kempinski. Dziękowała nam za kwiaty i zapraszała Hannę, Kati i mnie, żebyśmy przyszły zobaczyć dziecko.

Również ona nie zapomniała, że my z naszym flirt shopem wprawdzie nie byliśmy bezpośrednio ojcem, ale w pewien sposób zainicjowałyśmy jej szczęście macierzyńskie.

Na krótkiej przerwie zastanawialiśmy się, kiedy pójdziemy do niej w odwiedziny, gdy Piwi podszedł do nas i zaproponował, że zawiezie nas do szpitala.

- Wybieram się do pani Kempinski dzisiaj po południu. Chciałbym uzyskać jeszcze kilka informacji o wieczornym spotkaniu z rodzicami. Jak chcecie, to was zabiorę.

Moje serce zaczęło szybciej bić. To było znowu takie słodkie z jego strony.

Oczywiście starałam się zdobyć miejsce obok kierowcy. Ale kiedy już tam siedziałam, byłam taka zakłopotana, że przez całą jazdę nie wydobyłam z siebie ani słowa, podczas gdy Hanna i Kati siedząc na tylnym siedzeniu, prowadziły z nim wesołą konwersację na temat niemowląt, śluby albo jego braku i zalet karmienia piersią.

Kiedy Kati na dodatek stwierdziła, że karmienia piersią upiększa biust, miałam ochotę ze wstydu wyskoczyć z samochodu.

- Jak mogłyście prowadzić z nim taką krępującą rozmowę? - syknęłam do nich obu, kiedy wygramoliłyśmy się na parkingu z auta.

- Dlaczego krępująca? - zdziwiła się Kati. - Przecież to są normalne procesy biologiczne, a ten facet jest nauczycielem biologii. Czy nie jesteś za barzo konserwatywna?

I to właśnie ona mówi coś takiego. Nie miała nawet komórki!

Odwiedziny u pani Kempinski były bardzo fajne. Mogłyśmy potrzymać chłopczyka, a ona chciała się dowiedzieć, co sądzimy o imieniu Patrice i czy nie brzmi ono zbyt egzotycznie.

Hanna zdobyła się na odwagę i zapytała, czy nie mogłybyśmy zostać matkami chrzestnymi i wybrać imienia dla małego.

Pani Kempinski nie wydawała się zachwycona tym pomysłem. Ale uśmiechnęła się i powiedziała:

- Jeśli wymyślicie jakieś piękne imię, to możemy o tym porozmawiać.

Sprawa imienia wcale nie była taka prosta.

Piwi był tak miły, że wysadził nas koło Hanny, więc mogłyśmy szybko skoczyć do księgarni jej mamy po księgę imion. Ale to nie ułatwiło nam decyzji.

- Pani Kempinski oczekuje, że damy jej synkowi naprawdę piękne imię. Takie, które będzie lubił, ale które jednocześnie będzie przypominać jej i Old MacDonaladowi o pamiętnym dniu szkolnej imprezy, kiedy się pokochali. - Wprawdzie sama nie wiedziałam, jakie to miałyby być imię, ale było dla mnie jasne, że musi spełniać takie funkcje.

W tej kwestii moje przyjaciółki zgodziły się ze mną, ale nie mogły przestać się wygłupiać.

- Amor! - zaproponowała Hanna.

- Eros! - zachichotała Kati.

- A dlaczego nie od razu Ramazotti! - fuknęłam na nie, bo miałam dość tych żartów. - Bądźcie choć trochę poważne!

- A może Pit?

Wzdrygnęłam się i przyjrzałam się uważnie Hannie, która rzuciła tę propozycję. Czy podejrzewała coś na temat mojego uczucia do Pita Wintera? Czy przejrzała mnie swoim niezrównanym wyczuciem psychologicznych stanów wyjątkowych? Ale wydawało się, że to tylko przypadkowy dowcip, który nie miał z tym nic wspólnego, bo zaczęła kartkować książkę w poszukiwaniu nowego imienia.

- Pit byłoby całkiem fajne - powiedziałam odważnie.

- Pit to twoim zdaniem fajne imię? Naprawdę? - Kati gapiała się na mnie. Jej zdaniem było nieprzyzwoite nazywać nauczycielskie dziecko imieniem nauczyciela. - Chyba nie mówisz poważnie!

- Dlaczego nie?

- Tak nie można. Po pierwsze Pit to żadne imię, po drugie... ach, po prostu nie można.

Teraz ona spojrzała na mnie przenikliwie, a ja przeklinałam własną lekkomyślność i fakt, że jeszcze raz poddałam imię pod dalszą dyskusję.

- Czy leży ci specjalnie na secu z powodu Pita Wintera?

- E... Pit Winter... e... on też ma na imię Pit? - jękałam się jak przyłapaną na jakimś przestępstwie. A że na pewno zrobiłam się czerona, moje przyjaciółki rzeczywiście mnie wyśmiały.

- Czy ma na imię Pit? Mila, chcesz robić konkurencję tej głupiej Vanessie? Chyba nie jesteś w nim zakochana? Wstydz się, niedobra dziewczynki!

Znowu zaczęły się wydurniać.

- Daj sobie spokój - powiedziała Hanna. - Już raz ci mówiłam, nie pakuj się w nieszczęście. Związki między nauczycielami i uczniami nie mają prawa bytu. Ani żadnych perspektyw.

Ach, co też ona nie powie. Mama w końcu przeżyła z własnym nauczycielem tańca wspaniały romans, co dowodzi, że wyjątki zawsze potwierdzają regułę.

Nie mogłyśmy oczywiście uzgodnić żadnego imienia, dzięki czemu pani Kempinski nie musiała z nas robić chrzestnych tego niewinnego dzieciątka.

Wieczorem było spotkanie z rodzicami, musiałam więc szybko się pożegnać, żeby pomóc mamie jeszcze trochę w salonie.

Po drodze kupiłam jej kanapkę, z czego bardzo się ucieszyła. Wypiła resztę kawy z termosu i na kilka minut położyła wyżej nogi.

- Właściwie jestem zbyt zmęczona, żeby jeszcze pójść na to spotkanie - powiedziała. Widząc, że leży jak flak w fotelu fryzjerskim, uwierzyłam jej.

- Ale musisz tam pójść - zachęcałam ją mimo to. - Musisz koniecznie poznać Pita Wintera. To jest superfacet.

- No, jak muszę, to muszę - uśmiechnęła się, włożyła do ust resztki bułki i wstała.

Dała mi w przelocie całusa w policzek i powiedziała na pożegnanie:

- Zamknij dobrze salon, jak będziesz wychodzić. Wkrótce wrócę. Na pewno niedługo to potrwa.

Ale trwało całą wieczność.

Kiedy o dziesiątej jeszcze nie wróciła, wyłączyłam telewizor i poszłam do łóżka. Tam przejrzałam parę czasopism. O jedenastej oczy same mi się już zamykały, a mamy jeszcze nie było. Zasnęłam i obudził mnie dźwięk dzwonów na wieży kościelnej. Światło w korytarzu, które zostawiłam włączone, nadal się paliło. Czy mama po powrocie zapomniała je zgasić? Poczłapałam do kuchni i przechodząc obok, rzuciłam okiem na wieszak. Neeee, jej płaszcz tam nie wisiał, co oznaczało, że mamy dalej nie ma. Nalałam sobie szklanek wody i wróciłam do swojego małego pokoiku. To było niesamowicie długie spotkanie z rodzicami! Chyba nic jej się nie stało? Byłam już trochę zaniepokojona. Ale może w tym lokalu, gdzie było spotkanie, trafiła na jkichś znajomych i po zakończeniu imprezy jeszcze z nimi pobyła? Z tą uspokajającą i wyjaśniającą wszystko myślą zasnęłam z powrotem.

Kiedy znowu się obudziłam, była prawie druga. Mama hałasowała w kuchni. Potem zgasło światło i usłyszałam, jak wchodzi na górę do swojej sypialni. Nucila coś, co zdrzało się bardzo rzadko, ale zawsze było wyrazem pozytywnego nastroju.

No, byłam ciekawa, co też mi opowie następnego dnia.

W każdym razie najpierw wcale się nie pokazała. Zasnęłam głęboko dopiero nad ranem i nie usłyszałam budzika. Zaspałabym, gdybym podświadomie nie zarejestrowała uderzeń zegara na wieży kościelnej. Siódma! Sygnał pobudki. Wprawdzie jeszcze trochę się wzbraniałam przed wstaniem, ale zwyciężyło poczucie obowiązku i wyskoczyłam z łóżka. Pędem się ubrałam, zebrałam rzeczy do szkoły i bez śniadania wybiegłam z domu. Kati na pewno będzie miała dla mnie pyszną kanapkę.

Zdażyłam jeszcze na autobus i bez tchu opadłam na wolne miejsce.

Potem uświadomiłam sobie, jak późno mama wróciła do domu. I w jakim dobrym humorze.

Teraz naprawdę byłam bardzo ciekawa, co się wczoraj wydarzyło.

Jak widać nic. A przynajmniej nic, co miałoby coś wspólnego z tą imprezą. Bo rodzice Hanny i Kati wrócili całkiem normalnie o jedenastej do domu.

Gdzie, do diabła, w takim razie podziewała się moja mama? No tak, na pewno była razem ze znajomymi albo klientkami.

Także Piwi nie wyglądał tego ranka szczególnie świeżo, kiedy wszedł do klasy.

- No i jak? Wieczór się przeciągnął? - Nie mogłam go nie zaczepić.

Nie wziął mi tego za złe i roześmiał się.

- No tak, macie rodziców bardzo skłonnych do dyskusji i kieliszka. Bardzo sympatycznych. W każdym razie jeśli chodzi o ścisłe grono.

Wyglądało na to, że wieczór mu się spodobał, a ja byłam pewna, że moja mama należała do tego ścisłego grona.

- Jest naprawdę miły - powiedziała, kiedy wieczorem zapytałam ją, jakie zrobił na niej wrażenie. - Powinien się tylko porządnie ostrzyć.

Roześmiałam się. Że też zawsze musiała myśleć o swoim biznesie!

W niedzielę odbywał się lokalny konkurs cechu fryzjerskiego. Mama jeszcze w sobotę wypróbowała na mnie parę sztuczek i byłam nastawiona całkiem optymistycznie. Oczywiście denerwowałyśmy się z Kati, wchodząc do wielkiej sali w ratuszu.

Na podeście zbudowano jakieś dwadzieścia stanowisk. Publiczność siedziała w pewnej odległości od nich, ale mogła chodzić wokół podestu i przyglądać się z bliska fryzjerom i modelom.

Jury chodziło po podeście od stanowiska do stanowiska, oceniało fachowość wykonania i na koniec przyznawało punkty.

Oczywiście ja musiałam być pierwsza.

- Ciebie lepiej znam - powiedziała mama. - Nie będę się tak denerwować.

- Ale nie musisz się wcale denerwować - próbowałam ją podnieść na duchu. Jednak kiedy zobaczyłam, jak jej się trzęsą ręce, zamknęłam się. Treaz najbardziej potrzebowała skupienia i wewnętrznego spokoju. Lepiej było w ogóle jej nie zagadywać.

Przyszłyśmy ze świeżo umyтыми włosami, więc od razu można było zacząć układanie.

- Miałam za długą przerwę - szepnęła mama, kiedy już na początku spadła jej na podłogę miseczka ze szpilkami do włosów.

- Bzdura. Robisz to codziennie. Zapomnij po prostu, że to konkurs, wtedy się uda.

Z głośników dobiegała cicha muzyka. Konferansjer przechodził od stolika do stolika i przedstawiał poszczególnych uczestników. Fryzjer, przy którym właśnie stał, był pokazywany na wielkim ekranie na ścianie. Z modelen. O nie, jaki obciach.

Potem wszystko poszło szybko. Mama nabrała rutyny. Zebrała moje włosy razem i z czubka głowy wyciągnęła kilka pasemek do przodu. Potem podpięła część włosów i

zaczęła zaplatać cienkie warkoczyki i z prędkością światła skręcać dredy. Gotowe warkoczyki i dredy przypinała z tyłu głowy ogromną ilością szpilek. W końcu zaczesła kilka pasemek do tyłu i jakoś je przeciągnęła przez warkoczyki, tak że wyglądały jak frędzelki z kłębka dredów i warkoczyków. Dwa cieniutki kosmyki pozostawione z przodu, które asymetrycznie okalały moją twarz, zakręciła lokówką.

Im dłużej jej się przyglądałam, tym bardziej byłam pewna, że zgarnie jedną z pierwszych nagród.

Również z włosów Kati udało jej się stworzyć naprawdę czarującą fryzurę, a policzki Kati płonęły z zachwytu, tak że wcale nie potrzebowała różu.

Na koniec konkursu modele musieli się jeszcze pojedynczo zaprezentować na podeście. Ich głowy były filmowane ze wszystkich stron i wyświetlane na ogromnym ekranie w sali. To było trochę nieprzyjemne, ale przynajmniej mogłam zobaczyć, jak wyglądałam z tyłu. To, co mama stworzyła, po prostu zapierało dech.

A potem spadł na nas deszcz medali. Złoto, złoto i jeszcze raz złoto. Za obie fryzury, za szybkość i fachowe wykonanie, i oczywiście za nieskazitelny makijaż.

Mama strasznie się cieszyła, tak samo jak Kati i ja. Nie wiedziałyśmy, co się wokół nas dzieje, dlatego wszystkie trzy spadłyśmy na ziemię, kiedy nagle dotarł do nas jakiś znany męski głos:

- Gratulacje! Ma pani także czarujące modelki! Już tylko one są na wagę złota.

Odwróciłyśmy się. Za nami stał, uśmiechając się młodzieńczo, Pit Winter.

Mama się roześmiała.

- Ośmielił się pan tu przyjść? Z taką fryzurą?

Wlepiłam w nią wzrok. Trochę szacunku. Wszystko jedno, o co chodziło, rodzicom zawsze udało się nas skompromitować. Co sobie tylko Piwi o mnie pomyśli?

ROZDZIAŁ PIĄTY: Miłość, teleturniej i show

Dwa dni później mama znowu wróciła do domu dopiero wieczorem.

- Zgadnij, kogo dzisiaj strzygłam - powiedziała, kiedy dosiadła się do mnie przed telewizorem. Była w świetnym nastroju. - Co ogladasz?

- *Milionerów*. Który z aktorów nigdy nie dostał Oscara: Cary Grant, Richard Burton, Peter O'Toole czy Charlton Heston?

- Peter O'Toole. Zawsze był wściekły, że Richard Burton dostał, a on nie.

- No to kogo strzygłaś? Panią Dombrowski? Po twoim zwycięstwie ukoronaowanym medalami wróciła skruszona przed twoje lustro?

Mama pokręciła głową i zachichotała jak uczennica.

- Odpowiedź nieprawidłowa, całkowicie nieprawidłowa!

- No powiedz. - Nie miałam ochoty zastanawiać się na odpowiedzą na tak banalne pytanie. Teleturniej był o wiele bardziej interesujący.

- Waszego stażystę. Pita Wintera.

- Cooo? Naprawdę do ciebie przyszedł, chociaż rzuciłaś mu takim tekstem? - On to miał nerwy!

- Właśnie *dlatego*, że tak mu przygadałam! I dobrze zrobiłam. Teraz przynajmniej może dać się sfilmować podczas waszego castingu, nie kompromitując siebie i całego fryzjerstwa!

No, tego nie byłam już taka pewna. Kto wie, co mama nawyrabiała z jego włosami. Ale wyszło całkiem niezłe.

Kiedy spotkaliśmy się rano przed szkołą, Hanna była zachwycona jego nowym wyglądem. Nawet Markus zagwizdał z uznaniem. A ja musiałam przyznać, że mama dobrze go ostrzygła.

On w każdym razie, co było widać, czuł się naprawdę świetnie i wyruszyliśmy we wspaniałych humorach.

Casting odbywał się w studiu w Hanowerze. Już jazda samochodem Piwiego była bardzo wesoła. Oczywiście znowu usiadłam z przodu obok kierowcy, postanowiłam jednak, że tym razem skorzystam z tego, nie będę się zachowywać jak niemowa i nie sapnikuję.

Hanna i Markus chichotali i tak nadawali na tylnym siedzeniu, że nie mogło być mowy o poważnej dyskusji.

- Czy będziemy musieli już teraz odpowiadać na pytania? - próbowałam nawiązać rozmowę.

- Nie mam pojęcia. Jeszcze nigdy nie brałam w czymś takim udziału. Ale pewnie znajdziemy się w podobnej sytuacji jak podczas nagrania programu. Będą chcieli zobaczyć, jak się zachowujemy.

- OK, no to runda na rozgrzewkę - zawołała Hanna, która przysłuchiwała się rozmowie. - Mam czasopismo z pytaniami testowymi do *Milionerów*.

- Czy to coś pomoże? Myślę, że tam są wymagane wiadomości szkolne.

- Ach, trochę wiedzy ogólnej nie zaszkodzi.

- Czy nie powinniśmy się zastanowić, jakie są mocne strony każdego z nas? Ten, kto jest dobry z danego tematu, może odpowiadać na pytania - zaproponował Markus. Całkiem niegłupi pomysł.

Dyskutowaliśmy chwilę, a potem rozdzieliliśmy dziedziny. Przy czym z Piwim łączyła mnie biologia, a z Markusem matematyka.

- No to będziemy się naradzać - zaproponował Piwi.

- Znam się też trochę na hodowli zwierząt - powiedział Markus.

- Ach! - Piwi bardzo się tym zainteresował. - Czy nie moglibyśmy pojechać do was na wycieczkę klasową? Akurat mamy na biologii temat zwierzęta domowe, to byłoby praktyczne uzupełnienie naszych lekcji.

- Na pewno da się to zorganizować - natychmiast zgodził się Markus. - Zapytam tatę. Kiedy to miałyby być?

Piwi przedyskutował z nim kilka możliwych terminów, a ja się denerwowałam, że nie miałyśmy gospodarstwa, które mógłby odwiedzić, tylko głupi, nieciekawo dla biologa salon fryzjerski. No, przynajmniej mama obcięła Piwiemu włosy. To już coś!

W wielkiej hali, w której znajdowało się studio, czekała już ponad setka uczniów ze swoimi nauczycielami. Wobec tego tłoku nie byłam już tak dobrej myśli. Dlaczego mieli by wybrać właśnie nas? Nie byliśmy przecież wcale jacyś wyjątkowi.

- Czy oni wszyscy przyjechali na casting? - spytałam Hannę, żeby tylko coś powiedzieć.

- Tak przypuszczam. Inaczej po co by tu byli?

Facet z megafonem, który przedstawił się jako asystent kierownika zdjęć i miał na imię Harry, powitał nas i wyjaśnił pokrótce przebieg castingu. Rzeczywiście mieli zamiar filmować w akcji każdą grupę zaledwie przez dziesięć minut.

- I po co tak daleko jechaliśmy?! - oburzył się ktoś stojący za mną.

Musieliśmy się teraz wszyscy zarejestrować, a potem wywieszono plan, na którym była podana kolejność szkół.

- Tymczasem możecie iść do bufetu, są tam przygotowane kanapki i napoje. Przed każdym castingiem następuje jeszcze raz wezwanie na plan, które usłyszycie także w bufecie. Wywoływane są zawsze dwie grupy, ponieważ w teleturnieju występują

przeciwko sobie zawsze dwie drużyny.

- A więc musimy rozegrać jedną rundę - jęknęłam zrezygnowana do Pita Winer. - Nie czuję się przygotowana.

Piwi spojrzał na mnie zaskoczony.

- O! Po pyskatej Mili spodziewałem się energiczniejszej postawy.

Pyskata Mila! To, co myślał o mnie, było zadziwiające. Tylko dlatego, że czasami trochę się pośpieszyłam z jakimś komentarzem, nie musiałam przecież przyjmować wszystkiego z entuzjazmem. Byłam bardzo wrażliwa i czuła na strach, wątpliwości czy nerwowość. Nie byłam tak gruboskórna jak Markus. Pyskata Mila?! Bezczelność! Wcisnęłam się do kolejki po kanapki, żeby ukryć przed Piwim moje zakłopotanie. Markus stanął zaraz za mną. Był w świetnym humorze i zaczął od razu swoją gadkę. Zaopatrzeni w bułki i colę usiedliśmy przy stole pod oknem i czekaliśmy na to, co miało nadejść. Hanna miała ze sobą swoją małą encyklopedię i zarzucała nas pytaniami. Ale ponieważ to trochę odwracało naszą uwagę, znosiliśmy jej hiperaktywność z opanowaniem.

Później nadeszła nasza godzina. Zostaliśmy wywołani z grupą z Hildesheimu. Kiedy zobaczyłam, jak ich drużyna wchodzi do studia, odwaga kompletnie mnie opuściła. Mieli na sobie jednakowe pomarańczowe koszulki i spodnie skaterów, a ich nauczyciel nosił pomarańczowy krawat. Na koszulkach i krawacie widniało wyraźne logo szkoły. Wyglądali jak część drużyny koszykówki albo czegoś w tym rodzaju. W każdym razie sprawiali wrażenie, jakby wybierali się na jakąś imprezę sportową i przyprowadzili ze sobą trenera. Brakowało tylko paru cheerleaderek.

- My też mamy takie szkolne ubiory? - spytałam Markusa, bo wiedziałam, że grał kiedyś w szkolnej drużynie. W koszykówkę czy coś w tym rodzaju, nie byłam całkiem pewna.

- Jasne, że mamy, ale nie chcesz chyba z tym wyskakiwać w teleturnieju?

- Kto wie. Może widzowie to lubią.

Ludzie z Hildesheimu zwracali na siebie uwagę tak bardzo, jak krzykliwie byli ubrani. Chichotali głośno, szeptali między sobą, zasłaniając usta rękami, i rzucali wieloznaczne spojrzenia w naszym kierunku. Wydawało mi się, że jestem okropna, beznadziejnie ubrana i totalnie nie na miejscu. Z nimi nigdy nie wygramy, oni po prostu promienieli pozytywną energią. Piwi, nasz błady, przepacowany stażysta, nie miał nawet krawata. A fakt, że nosił bluzę, w której przespałam jedną noc, nie mógł mi w tym momencie poprawić nastroju.

Kiedy grupy, które były przed nami, wyszły ze studia, zespół z Hildesheimu wpadł do środka, wydając bojowe okrzyki. A my poczłapaliśmy za nimi jak owce.

Podczas gdy drużyna przeciwników od razu poczuła się tu jak w domu, dla nas atmosfera w studiu była całkiem nowa i robiła wrażenie. Wokół stało mnóstwo kamer, cały sufit był gmatwaniną reflektorów i mikrofonów. W tle studia za wielką szybą można było zobaczyć trzy osoby, które prawdopodobnie [racowały przy stole montażowym.

Kierownik zdjęć podszedł do nas i skierował na nasze miejsca.

Wszystko było bardzo kolorowe. Każda drużyna miała pulpit, na którym zainstalowano cztery monitory. Przed każdym monitorem znajdował się duży czerwony guzik. Przyciskał go gracz, który chciał odpowiedzieć na pytanie. Od razu było widać zbieżności z teleturniejami dla dorosłych. Ale wszystko było bardziej kolorowe i błyszczące. Grupa z Hildesheimu, ubrana na kolorowo, doskonale pasowała do scenografii.

Jeden z kamerzystów, obok którego przechodziłam, nie wydawał się być specjalnie zadowolony, bo mruczał coś o tym, że pomarańczowy kolor jest trudny do modulowania i poprosił o filtr.

Usiedliśmy na naszych miejscach i asystent reżysera wyjaśnił, że mamy się teraz zachowywać naturalnie. To była sztuka, biorąc pod uwagę całą scenerię.

- Asystentka będzie teraz na przemian zadawać każdej drużynie pytania. Odpowiadać ma po kolei każdy członek zespołu. Chcemy zrobić próbę głosu i sfilmować wszystkich uczestników. A więc proszę się podporządkować. Każdy ma tylko jedną odpowiedź. Na podstawie tego materiału ocenimy drużynę i poinformujemy państwa w następnych tygodniach o ewentualnym udziale w programie. Życzę szczęścia.

Przekazał mikrofon asystentce.

Kierownik nagrania zapytał:

- Dźwięk?

Ktoś odpowiedział:

- Jest dźwięk!

- Kamera?

- Kamera pracuje!

- Klaps!

Ktoś zrobił klaps.

Kierownik nagrania zawołał:

- Proszę! - i asystentka rozpoczęła nagranie.

Na początku trochę wszystkich ściemniała, a potem zapytała ludzi z Hildesheimu, skąd są. No pewnie, odpowiedź była nie tylko jasna jak słońce, ale widniała na ich bluzach - z Hildesheimu.

Potem spytała o to samo nas, a kiedy już ujawniliśmy swoje pochodzenie, rzuciła przeciwnej drużynie pierwsze pytanie.

Nauczyciel w krawacie podjął je i przekazał pryszczatemu uczniowi o imieniu Daniel. Jak widać, umówili się dokładnie tak jak my i każdy członek drużyny odpowiadał na pytania ze swojej dziedziny. Oczywiście typek nie musiał się długo zastanawiać nad prawidłową odpowiedzią.

Potem my otrzymaliśmy nasze pierwsze pytanie.

- Na którym południku leży Greenwich?

To była geografia, a więc moja dziedzina. Piwi, Hanna i Markus spojrzeli na mnie. I nie tylko oni, ale także dwie olbrzymie jeżdżące kamery, za którymi siedzieli operatorzy ze słuchawkami na uszach. A nade mną czał się ktoś z mikrofonem na wysięgniku. Jak mogłam skupić się w tych warunkach?

- Dalej, odpowiadaj! - syknęła Hanna.

W mojej głowie rozpanoszyła się czarna chmura i zasłoniła jakiegokolwiek światełko wiedzy.

Greenwich? Czy to w ogóle gdzieś leży? A do tego było jeszcze coś z jakimś południkiem. Gapiłam się bezradnie na drużynę z Hildesheimu. Wielkie logo na ich krzykliwych bluzach rozplywało mi się przed oczmi, wyglądało to tak, ałby ich głowy wychylały się z jakiejś kolorowej papki dla niemowląt.

Musiałam zachichotać, i nie tylko chichotać, musiałam się naprawdę roześmiać, i to głośno i długo, myślałam, że już nigdy nie będę mogła przestać. Było jasne, że całe tłumione napięcie znalazło ujście w tym śmiechu. Oczywiście w nieodpowiednim czasie i miejscu. Dla mnie casting raczej się na tym skończył, a moja drużyna zepchnie mnie w przepaść. Najchętniej wybiegłabym ze studia.

- Nie zauważyłam, żeby pytanie było takie śmieszne? - powiedziała asystentka i uśmiechnęła się sympatycznie. - Kto z drużyny będzie tak miły i udzieli odpowiedzi? Miła na chwilę wypadła z gry.

Markus wcisnął swój guzik.

- Tak, proszę, Markusie? Na którym południku leży Greenwich?

- Na zerowym.
- To prawidłowa odpowiedź, Markusie! - ucieszyła się asystentka i zadała następne pytanie drużynie z Hildesheimu.
Uff, udało się.
Poszło tak jeszcze kilka razy i miałam szczęście, bo nie padło pytanie z mojej dziedziny, mogłam się więc znowu zebrać do kupy.
Kiedy nadeszło pytanie z matematyki, Piwi uśmiechnął się do mnie miło dla zachęty.
- Co opisuje liczba pi?
Markus sprawiał wrażenie, że wie, ale on już odpowiadał, Hanna i Piwi również.
Nacisnęłam guzik.
Asystentka spojrzała na mnie wyczekująco.
- No, Milu? Pytanie nie jest wcale takie wesołe. Będziesz w stanie na nie odpowiedzieć bez ataku śmiechu?
O kurczę, musiała mi przypominać o tym przykrym wydarzeniu?
Przeciwna drużyna patrzyła na mnie arogancko i była pewna zwycięstwa.
- No tak - powiedziałam - liczba pi jest jako liczba całkiem zabawna. Jek się pomnoży pi przez pi, to wyjdzie Pipi. (Pipi - niem. siusiu.)
Czy kompletnie mi odbiło? Co ja znowu wygadywałam? Hanna i Markus gapili się na mnie zdumieni, tylko Piwi uśmiechnął się pod nosem.
Asystenta się roześmiała.
- Naprawdę masz talent komika, Milu! - powiedziała. - Jeśli jeszcze będziesz znała prawidłową odpowiedź na pytanie, dostaniesz ode mnie dziesięć punktów bonusowych jako najzabawniejsza uczestniczka teleturnieju.
Chyba się przesłyszałam. Jeszcze mnie motywowała. Ale nieważne, musiałam teraz odpowiedzieć. Pi, co opisuje liczba pi? Markus rysował przed sobą palcem wskazującym kółka, a Hanna układała usta w O. Jednak ani jedno, ani drugie jakoś nic mi nie mówiło.
- Pomyśl o pani Kempinski - odezwał się Piwi, nagle przerywając ciszę. - Gdzie urodziła dziecko?
Dziecko? W szpitalu. W szpitalu okręgowym! Okrąg. Pi miało więc coś wspólnego z okręgiem... dokładnie tak... teraz mi się przypomniało.
- Pi to liczba, która określa, ile razy średnica okręgu mieści się w jego długości. Wartość pi wynosi 3,14159.
- Tak, dokładnie. Odpowiedź prawidłowa, Milu!
Asystentka naprawdę wydawała się cieszyć, że nam się udało.
Totalnie zamroczona szłam, chwiejąc się, za Piwim, Hanną i Markusem. Było mi wszystko jedno, czy przeszliśmy casting, czy nie. Chciałam tylko szybko opuścić studio, miejsce mojej kompromitacji. A przecież tak pięknie sobie wyobrażałam, jak wystąpię z Piwim w teleturnieju. Ale moje nerwy nie sprostały rzeczywistości show-biznesu.
Kiedy później siedzieliśmy w samochodzie i wyruszyliśmy w drogę powrotną do domu, świadoma swojej winy milczałam na przednim siedzeniu.
- Co z tobą, Milu? - spytał mnie w końcu Piwi. - Dlaczego nic nie mówisz? Czy zużyłaś cały swój czar podczas castingu? Bardzo dobrze wypadłaś. Jeśli nas wezmą do teleturnieju, będziemy to zawdzięczać tylko twoim wytępom!
Jak proszę? Czy ja dobrze słyszałam? Moim występem? Ja dobrze wypadłam? Czy omi byli na tej samej imprezie co ja? Przecież zachowywałam się całkowicie nieodpowiednio i śmiertelnie się skompromitowałam!
Ale Markus też się roześmiał i powiedział z uznaniem:
- Byłaś bardzo zabawna i sprytna! W każdym razie kompletnie zepsułaś przeciwnikom show!

Nie wiedziałam wprawdzie, dlaczego, co i komu, ale skoro oni byli zadowoleni, powinno mi to być obojętne. Zrelaksowana wyciągnęłam się w fotelu i dziwiłam się troszeczkę różnym kryteriom oceniania ludzi.

Oczywiście musiałyśmy wszystko z detalami opowiedzieć Kati. Ponieważ Hanna odebrała całą imprezę jakoś bardziej pozytywnie niż ja, pozostawiłam jej zdawanie relacji i zadowoliliłam się uzupełnianiem co jakiś czas jej opowieści.

Kiedy rozmowa zeszła na Markusa, moje przyjaciółki oczywiście od razu zaczęły chichotać i chciały mi konicznie wmówić, że coś mnie z nim łączy. W porównaniu z wcześniejszymi sytuacjami zachowywał się naprawdę jak cywilizowany człowiek, ale nie mogłam mu darować tego napadu z całowaniem na imprezie u Branka. Poza tym w jego obecności opanowywał mnie jakiś niewyjaśniony niepokój i miałam odruch ucieczki, kiedy na mnie patrzył. Nie, tego faceta musiałam się pozbyć.

- Czy nie możemy wyswatać go z Vanessą? - spytałam. - Jego ojciec ma konie, a Vanessa jeździ konno. Przecież oni są dla siebie stworzeni!

Kati też tak uważała i zaproponowała, żebyśmy od razu rzuciły jakiś miłosny czar. Ale po tym wszystkim, co już przeszliśmy przez jej magiczne sztuczki, jednogłośnie odmówiliśmy.

Musiała istnieć jakaś inn droga, żeby ich do siebie zbliżyć.

Kati miała wątpliwości.

- OK, spróbujcie, jeśli uważacie, że uda się wam bez czarów. Tylko mówię wam, to będzie kawał ciężkiej roboty. Markus nie może ścierpieć Vanessy.

- Ale ona przecież cały czas za nim lata. Podrywa go od siódmej klasy.

- Nic dziwnego, że on ma jej po dziurki w nosie.

Hanna westchnęła.

- Myślę, że jest jednak zakochamy w Mili i żadna sztuczka świata ani czary nie sprawią, żeby połączył się z Vanessą.

- Odbio ci! - uniosłam się gniewem. - Dlaczego niby miałby być zakochany właśnie we mnie? Podrywa mnie, bo odhaczył już sobie wszystkie inne dziewczyny w klasie.

Z tym moje przyjaciółki mogły się zgodzić tylko częściowo i Hanna stwierdziła, że mam niską samoocenę, jeśli naprawdę tak myślę, ale one nie będą już wciskać mi Markusa, a ja zrezygnuję z wszelkich działań mających na celu wyswatanie go z Vanessą. Może naprawdę nie powinnam mu tego robić.

ROZDZIAŁ SZÓSTY:

List miłosny

Kiedy następnego ranka przyszlismy do szkoły i chcieliśmy obwieścić klasie nowinę o naszym zwycięstwie, okazało się, że cały świat już o tym wiedział.

Oczywiście radość z wygranej wycieczki była wielka i wszyscy przesadnie nam gratulowali.

Trochę mnie tylko gryzło, że nasza rakietka wystartowała, zanim w ogóle zdążyliśmy ją odpalić.

Czy Markus wbrew umowie nie utrzymał języka za zębami? Właściwie Piwi powinien to ogłosić na pierwszej lekcji. Tak, to mógł być tylko Markus, który chciał zgarnąć na siebie całą sławę. Jak się już puszył ze swoimi kumplami - chwalił się. No, już ja sobie z nim pogadam.

- Nie mogłeś utrzymać języka za zębami czy jak? - objechałam go głośno. - Umowy cię nie obowiązują?!

- Niby czemu? - spytał z niewinną miną.

- No pewnie, musiałeś już wszystko wypaplać klasie przed lekcjami!

- Dlaczego ja? Lepiej spytaj Vanesę!

- Vanesę?

- Tak, już o wszystkim opowiedziała, jak dzisiaj przyszedłem do klasy.

Vanessa? Nie mogłam w to uwierzyć. Chciał sobie ze mnie zakpić? Skąd ona niby miała wiedzieć?

- Od Pita Wintera osobiście - odparła na moje poirytowane pytanie. - Przesłał mi SMS-a.

- Że jak proszę? - Chyba śnię. - Pit Winter przecież nie wysyła do ciebie SMS-ów! Niby dlaczego miałby to robić? - Te swoje kłamstwa mogła wciskać komuś innemu.

- No a co to niby jest? - spytała i podsunęła mi z bardzo arogancką miną swoją komórkę pod nos. - Sama przeczytaj. Wysłałam mu wczoraj wieczorem SMS-a i spytałam, czy można już składać gratulacje, a on mi odesemesował, że można. To z resztą nie pierwszy SMS od niego. - Na jej twarzy pojawił się blask triumfu.

Zignorowałam jej komórkę.

Wysyłając każdego potajemnego SMS-a, miałam wyrzuty sumienia, a Piwi tymczasem wymieniał sobie oficjalnie SMS-y z Vanesą. No tak, właściwie nie oficjalnie, ale nie piszą do siebie anonimowo. A ta głupia krowa nie miała nic innego do roboty, tylko pokazywać wszystkim SMS-y i nie wiadomo co sobie przy tym myśleć. Czy go to cieszyło? Nie potrafiłam sobie tego wyobrazić. Na pewno nie był szczególnie zainteresowany tym, że wszyscy dowiedzieli się o jego SMS-owej korespondencji z klasową podrywaczką. Jasne było przecież, że chce go w ten sposób wyrwać.

Tak czy inaczej, jak ona ostatnio przychodziła na lekcje - coś potwornego. Gruba warstwa podkładu, eyeliner, cienie do powiek... miała na twarzy połowę zawartości kosmetyczki. Włosy ufarbowała sobie na wściekle pomarańczową czerwień. Kiedy zarzuciła prowokacyjnie swoją grzywą przed Markusem, nawet jemu zrobiło się niedobrze. Udał, że traci przytomność i osunął się na stół nauczycielski, wołając:

- Ratunku, pomarańcza z nogami!

Właśnie w tym momencie nadszedł Karzełek Titelityry i zauważył zbezczeszczenie swojego biurka, co spowodowało, że biedaczek Markus dostał specjalne zadanie domowe i wyjątkowo zaczęłam mu współczuć. No, ale to nieważne!

Ale było dla mnie ważne, w jaki sposób Vanessa, którą każdy rozsądny człowiek uważał za głupią kozę, zdołała wkraść się w łaski Pita Wintera i dostawać od niego SMS-y. Na pewno zadawała mu jakieś durnowate pytania związane z lekcjami, a on po prostu na nie odpowiadał!

Czy on nie miał nic innego do roboty? Mnie nigdy nie odpowiedział. Ech! No tak, jak miałby to zrobić, skoro pozostawałam anonimowa. Ale nie mogłam w żadnym wypadku znieść tego, że oni do siebie pisywali. Niech Vanessa zabierze łapy od klawiszy telefonu, a przede wszystkim od mojego Piwiego!

Spojrzałam na swoją komórkę. Ile to słodkich wiadomości przesłała już do niego. Smutne, że on nie mógł znać nadawcy, czyli mnie. Cy nie powinnam zrezygnować z anonimowości? Wysłać do niego normalnego SMS-a, nie ukrywając się? Ale musiałam mieć jakiś powód. Zastanowiłam się. Czy mam go po prostu bezczelnie o coś zapytać? Na przykład o coś związanego z tym projektem z muszkami?

Miałam z nimi dość problemów. Od wielu dni wydawało mi się, że ktoś majstrował przy moich próbkach. W każdym razie było w nich dużo mniej muszek niż u innych, czego nie potrafiłam sobie wyjaśnić. Przecież regularnie karmiłam je roztworem z cukru i starałam się, żeby miały przytulnie.

Ale zawsze, kiedy je liczyłam, coś się nie zgadzało. Raz było za dużo tych z pokręconymi skrzydełkami, raz za dużo tych z prostymi. To się jakoś nie kleiło.

Markus, który wprowadzał dane liczbowe do komputera, też był już zdenerwowany.

- Czy jesteś taka głupia, że nie potrafisz policzyć paru muszek? - naskoczył na mnie. - Co ty sobie myślisz, zmienianie takiej grafiki to kupa roboty!

Mogłam go zrozumieć, ale czy musiał się tak na mnie wydzierać?

- Co ja na to poradzę? - odgryzłam się. - Ktoś tutaj sabotuje moje eksperymenty! To jego powinność objechać!

- Skąd ci to przyszło do głowy? - spytał trochę bardziej przyjaźnie.

- Skąd mi to przyszło do głowy? Naprawdę sądzisz, że nie umiem liczyć do stu? Wiem, że te liczby się nie zgadzają. To naprawdę nie wyjaśnione zmniejszenie liczby muszek!

Popatrzyłam na jedną z probówek pod światło. Maleńkie muszki łączyły po ściankach.

Markus stanął za mną i spojrzał mi przez ramię.

- One naprawdę nie mogą same wyjść - zauważył. - Chyba że ktoś celowo majstruje przy twoim eksperymencie.

Odwrociłam się i spojrzałam mu prosto w oczy.

- Naprawdę tak sądzisz? Też się już nad tym zastanawiałam. Ale czy ktoś z naszej grupy mógłby być aż tak wredny?!

Markus wzruszył ramionami.

- Właściwie nie, bo zaszkodziłby wszystkim. Może to ktoś z innej grupy, która też bierze udział w konkursie. To mógłby być prawdziwy sabotaż.

- No i co możemy zrobić? Powinniśmy o tym powiedzieć panu Winterowi?

Markus przejechał ręką po swoich gęstych włosach.

- Chyba jest jeszcze za wcześnie. Mamy tylko mgliste podejrzenia. Musimy mieć pracownię biologiczną na oku. Może sprawca sam trafi w nasze sieci.

- Nam? - spytałam trochę zdziwiona takim zaangażowaniem z jego strony. - Czy to znaczy, że chcesz mi pomóc?

Uśmiechnął się ironicznie.

- Jeśli nie jest to wbrew twoim feministycznym zasadom. Nie chcę cię wpędzać w konflikt sumienia.

Co on nie powie! Ale trochę wsparcia by mi się przydało, bo moje przyjaciółki nie okazały zrozumienia dla projektu z muszkami i na pewno nie będą stać na czatach w szkolnych korytarzach, żeby nakryć sabotażystów.

- Ty wstręciuchu! - powiedziałam i też się roześmiałam. - Może to jakiś fanatyczny obrońca zwierząt, który chce oprotestować trzymanie muszek w probówkach.

- Zostawiłby transparent ze swoim logo. Nie, Miła, to jakiś podły bydlak, który kieruje się wyłącznie egoistycznymi racjami. Ale my go dorwiemy.

Podniósł rękę.

- Przybij!

Nasze dłonie klasnęły w momencie, kiedy Piwi otworzył drzwi. Ale obciach. Teraz musiał sobie pomyśleć, że coś mnie łączy z Markusem.

Oczywiście od razu zainteresował się, co właśnie przypieczętowałam.

- Naszą przyjaźń! - zwołał Markus. Miałam ochotę go udusić.

- Jeśli nie musicie tego kontynuować koniecznie w pracowni biologicznej, to chciałbym ją zamknąć - powiedział Piwi.

- Jasne, nie ma problemu - odparł Markus - tylko wyłączę komputer. - Podeszedł znowu do komputera, kliknął parę razy myszką i schował klawiaturę pod blat.

Pogrzebałam jeszcze przy moich probówkach.

- Miło, czy twoje muszki rozwijają się prawidłowo? - spytał Piwi.

- Hm, tak, jakoś idzie...

- Coś z tego będzie - stwierdził. - Muszki Vanessy rozmnażają się w zadziwiającym tempie.

No popatrz, muszki Vanessy... rzeczywiście, zadziwiające! Uważałam, że obrzydliwie dał się jej omamić.

A do tego jeszcze te SMS-y między nimi!

Właściwie powinnam się już wcale nim nie martwić. Był taki sam jak inni chłopcy. Te parę latek, o które był starszy, nie miało żadnego znaczenia. Jak ktoś go podrywał, czuł się tak samo mile polectany jak inni. To chyba była męska natura!

Nie, na pewno nie powiększę haremu jego wielbicielk. I nie będę już mu więcej wysyłać SMS-ów! Ani jawnych, ani anonimowych! Kim właściwie byłam, że stawiał mnie na równi z Vanessą? Nieee, miałam swoją godność.

Z drugiej strony... był przecież taki słodki. To absolutnie najbardziej interesująca męska istota, jaka kiedykolwiek stanęła na mojej drodze. Los chciał, żeby nasze drogi się spotkały. Kati pewnie powiedziałyby, że wszystko, co się wydarza, jest wcześniej ustalone. To znaczyło, że Piwi nieprzypadkowo przyszedł do naszej kasy, los mi go zesłał. Tylko że Piwi o tym nie wiedział.

Dobrze, ale co mogłam zrobić, żeby wyeliminować z jego życia Vanesę?

SMS odpadał. Ode mnie już żadnego nie dostanie!

A może, pomyślałam sobie, sięgnąć po starą dobrą pocztę i napisać do niego list? Było to o wiecele bardziej romantyczne niż marny SMS. Można o wiele więcej napisać, namalować jakiś obrazek... właśnie! Napiszę list do Piwiego, prawdziwy, romantyczny list miłosny.

Kiedy potem siedziałam w domu nad białą kartką papieru i obgryzałam pisak, sprawa okazała się o wiele trudniejsza, niż myślałam.

Takiego SMS-a z kilku wyrazów wystukiwało się szybko, ale list wymagał namysłu. W końcu Piwi był nauczycielem niemieckiego, zwrócił uwagę nie tylko na treść, ale i na formę. Musiałam się naprawdę przyłożyć. Nie chciałam się ograniczać do jakiejś pocztówki. Jemu i sobie musiałam zaprezentować pewien poziom. Mimo Vanessy.

Więc co napisać?

Już wymyślenie zwrotu grzecznościowego na początku było trudne. Nie mogłam napisać *Ukochany Nauczycielu* ani *Ubóstwiany Piwi!* *Szanowny Panie* było absolutnie bez wyrazu, ale formy byłby zachowane. Ale czy właściwie musiałam je zachowywać? Nieee, spontaniczność i kreatywność były ważniejsze. Odważne zerwanie z formami! Odrzucenie panujących norm! Kim byłam, żeby się podporządkować temu przymusowi! Wolność myślenia i wolność słowa, a więc również pisanie, były popularne!

Ale jakoś nie byłam kreatywną osobą. Miód nie wlewał mi się na papier. Musiałam się więc odwołać do bardziej natchnionych duchów. Widziałam chyba w szafie w salonie zbiór wierszy miłosnych. Wstałam i poszłam sprawdzić. Po dłuższych poszukiwaniach znalazłam mały tomik. *Niemiecka liryka miłosna*. No, jeśli tam niczego nie znaję, to już nigdzie.

Początkowo lektura przyniosła mi raczej rozczarowanie. Wiersze były piękne, ale nieco staroświeckie.

Większość była napisana przez mężczyzn. Zawsze przypuszczałam, że kobiety są bardziej romantyczne. No, spójrzmy dalej, musiały przecież istnieć w historii literatury uzdolnione poetycko kobiety. Hm, Angela Sommer, nowoczesna, ale nieco dołująca, Ursula Krechel - to samo. W ogóle im bardziej zbliżałam się do współczesności, tym bardziej miłość była beznadziejna. To oznaczało, że nie miałam zbyt dobrych widoków na przyszłość. Może lepiej to zostawić. Przeczytałam Ingeborg Bachmann. *Wyjaśnij mi, miłości, czego sama nie potrafię wyjaśnić...*

Tak, wyjaśnij mi, miłości, się ze mną stało, odkąd ten bezczelnie młodo wyglądający facet stanął na progu naszej klasy. Wyjaśnij mi to! Czytałam dalej. Kartkowałam, kartkowałam... Goethe, Schiller, Lenau, Hölderlin... mężczyźni, sami mężczyźni! No coś takiego, jakby kobiety nir potrafiły pisać wierszy. Sami macho! Walnęłam książkę na biurko. A może sama spróbuję? Namalowałam na kartce serce w płomieniach i napisałam obok:

*Moja miłość do ciebie
Jest jak ptak na niebie,
Jak śnieg lśniący,
Śmiech dziecka dźwięczący,
Jak słońce w jeziorze zachodzące.*

Zatrzymałam się i zdziwiłam. Ale odjazd! To się nawet rymowało. Dalej, muzo, natchnij mnie jeszcze raz. Potrzebuję drugiej strofy.

*Moja miłość do ciebie
Nigdy nie ustanie,
Bo jest jak zegara tykanie.
Jak czterolistna koniczyna,
Jak wróżka, co uśmiechać się zaczyna...*

Hm, no tak, ta jest trochę gorsza. Ale jeszcze się nadaje. No, teraz jakieś fajne zakończenie. Może jakiś mały zwrot do niego? Może: *Twoja miłość do mnie...* Czy to nie było zbyt śmiało? Nieee... najpierw trzeba to napisać.

*Twoją miłość do mnie
Skrętnie gdzieś ukrywasz.
Czyżby cię przestraszyła?
Jest jak ptak w klatce uwięziony,
Ach, wypuść go -*

Niech głód ciebie zostanie zaspokojony.

Nie mogłam tego pojąć! Co też we mnie drzemało! Byłam nieodkrytą poetką! Lepszych tekstów nie było nawet w tym tomiku, pomyślałam sobie. W każdym razie mi nie pasowały.

Jeszcze raz wszystko przeczytałam. Również kiedy czytałam po raz drugi i trzeci, uważałam, że to jest genialne. Musiałam po prostu wysłać do niego ten wiersz. Ale jak mam się do niego zwrócić? Najlepiej wcale. Domyśli się, że to o niego chodzi. W każdym razie nie mógł rozpoznać mojego pisma. A więc usiadłam do komputera, wyszukałam w programie graficznym piękną secesyjną ramkę i wkleiłam do niej wiersz przepisany odpowiednią czcionką. Bardzo ładnie. Potem dopisałam jeszcze na dole: *Z miłością i uwielbieniem - Twoja nieznana adoratorka.* I wydrukowałam całość na pięknym papierze czerpanym od mamy.

Ucałowałam kartkę, złożyłam ją i włożyłam do koperty. A jego adres? Do diabła, byliśmy u niego parę razy, ale nie mogłam sobie przypomnieć numeru domu! No, istnieje przecież jeszcze książka telefoniczna.

Wygrzebałam ją. O kurczę! W książce go nie było. Nie chciał, żeby uczniowie go nachodzili. Głupia sprawa. Mogłam też wysłać list do szkoły. Albo nawet osobiście oddać list w sekretariacie. Nie, lepiej nie. To było zbyt ryzykowne. Jakby się dopytał, mogłabym stracić anonimowość. Lepiej nie. A więc przykleiłam znaczek i napisałam adres szkoły. Potem szybko zaniósłam list do skrzynki i wrzuciłam drżącymi rękami. No i poszedł!

Co ja zrobiłam?!

Co zrobiłam uświadomiłam sobie dopiero następnego dnia w szkole.

A trzeciej lekcji pan Winter zaplanował test z niemieckiego. Chociaż niemiecki nie

był moją mocną stroną, sam Piwi stanowił już taką motywację, że oczekiwałam klasówki z optymizmem. Nie będzie tak źle. Jak zawsze wszedł do klasy w dobrym humorze, rzucając serdeczne „Dzień dobry!”.

- Dzień dobry panu! - odpowiedzieliśmy chórem.

- No i jak, gotowi do nowych, śmiałych czynów? - spytał i rzucił na stół stos zeszytów, segregatorów i resztę meneli, jakie nauczyciele noszą ze sobą. Chyba już sprawdził swoją skrzynkę pocztową.

Skrzynkę? Ojej! Chyba mój list jeszcze tam nie dotarł?

Gapiałam się jak zahipnotyzowana na stół nauczycielski. Nie, to było niemożliwe. Poczta potrzebowała przynajmniej jednego albo dwóch dni. Kiedy wrzucałam list do skrzynki, był prawie wieczór.

Nachyliłam się do Hanny.

- Ile idzie list pocztą?

- Dokąd? Daleko czy tu?

- Tu.

- Maksymalnie dwadzieścia cztery godziny.

Usłyszałam tylko „... dwadzieścia cztery godziny” i odetchnęłam z ulgą. Nie ma więc niebezpieczeństwa, że mój list już tu był.

- Przyniosłem wam balladę, myślę, że spodoba się wam i was zaciekawia. Pamiętajcie o trzech częściach pracy: krótkie streszczenie, analiza i interpretacja. Nie zapomnijcie o odpowiedniej strukturze formalnej. - Pan Winter przeszedł między rzędami ławek i rozdał kopie.

Ci, którzy już byli w posiadaniu zadania, zaczęli jęczeć.

Knolle był przerażony, a Kati westchnęła:

- Ojej, jaka długa!

- Czy oczekuje pan interpretacji każdej strofy? - spytała Vanessa. Oczywiście tylko po to, żeby znowu zademonstrować swoją wiedzę fachową.

Piwi stał dokładnie przede mną. Teraz odwrócił się do Vannesy, trzymając jeszcze kartkę dla mnie, i odpowiedział na jej pytanie:

- Wystarczy, jeśli przytoczycie najważniejsze miejsca odnoszące się do akcji i znaczenia wiersza i zanalizujecie je. To powinno wpłynąć na ogólną interpretację tekstu.

Było to raczej logiczne. Vanessa uśmiechnęła się do niego promiennie, jakby właśnie wyłożył jej wszystko na temat wiersza.

Jak można było tak bez przerwy wykrzywiać się w uśmiechu?

Piwi odwzajemnił uśmiech.

- Powodzenia - życzył jeszcze, co w moich oczach świadczyło o nadmiernym zainteresowaniu tą kozą.

- Czy mogłabym jednak otrzymać swoje zadanie? - przypominałam mu ponuro o jego obowiązkach, które miał wobec innych uczniów. W końcu ja też tu byłam.

Odwrócił się do mnie i podniósł lekko lewą brew.

- Taka jesteś niecierpliwa, Milu? - powiedział z ironicznym uśmieszkiem i rzucił mi kartkę na stół. - Chyba za wiele sobie zaplanowałaś? Życzę szczęścia.

Kiedy wypowiadał ostatnie słowa, ironia zniknęła z jego twarzy. Spoglądał na mnie bardzo przyjaźnie.

O Boże, jaki był cudny! Drżącymi palcami sięgnęłam po kartkę. Och, w mordę jeża! Co to miało być? Nagle uświadomiłam sobie, dlaczego nienawidzę ballad - były najczęściej po prostu za długie!

Przeczytałam wiersz po raz pierwszy i właśnie chciałam go streścić, kiedy Piwi usiadł przy swoim biurku. Mój stół stał dokładnie przed nim i mogłam zobaczyć, jak zaczął porządkować swoją pocztę. Podzielił prace klasowe, inne dokumenty i pocztę

na trzy osobne kupki. Spojrzałam na niego bardziej zamyślona niż ciekawa.

W głowie układałam sobie pierwsze zdanie streszczenia, kiedy Piwi niezręcznym ruchem ręki zrzucił jeden stosik i papiery poleciały na inne stoły. Część spadła mi nawet na kolana.

- O, przepraszam! - zawołał zakłopotany i usiłował zapobiec rozsypaniu się reszty. Podniosłam z kolan plik kopert i wstałam, żeby mu je podać. Duża elegancka przesyłka, kilka małych brązowych kopert i... zrobiło mi się czarno przed oczami... piękna, biała koperta z papieru czerpanego.

Ręce zaczęły mi się trząść. Krążenie się rozszalało, pot wystąpił mi na czoło.

To... to było niemożliwe! Trzymałam w rękach swój własny list. Mój list miłosny do niego. A on stał o metr ode mnie i wyciągał rękę, żeby przyjąć go ode mnie osobiście. Stałam jak skamieniała.

Nie byłam w stanie myśleć ani cokolwiek zrobić.

Hanna, siedząca przy stoliku obok, pierwsza zauważyła, że coś jest nie tak.

- Niedobrze ci, Milu? Jesteś taka blada! - spytała przestraszona.

Ale mogła się nie odzywać. Teraz inni też podnieśli głowy, a Knolle zrzucił na głos:

- Uwaga, ona się zaraz przewróci!

Kati wyskoczyła z ławki i podeszła do mnie.

Piwi patrzył na mnie zaniepokojony.

- Chyba klasówka rzuciła ci się na żołądek! - Vanessa nie mogła opanować radości z mojej przykrej sytuacji.

To mnie otrzeźwiło. A kiedy Kati zapytała, co się ze mną dzieje, mogłam już znowu mówić.

- E, to nic takiego, już dobrze. Chyba krążenie. Za szybko się podniosłam... - Nadal w drżących rękach trzymałam pocztę Piwiego.

Kiedy spojrzałam znowu na białą kopertę, poczułam jak moje policzki zaczynają płonąć. Chcę stąd wyjść, pomyślałam sobie i rozejrzałam się spanikowana dookoła. Markus patrzył na mnie z największym napięciem. Kiedy nasze spojrzenia się spotkały, uśmiechnął się pod nosem.

Szybko się odwróciłam, żeby sekundę później zderzyć się z badawczym wzrokiem Piwiego.

- Dziękuję, że uratowałaś moją pocztę - powiedział i zgarnął część, która leżała na mojej ławce i zeszycie, na biurko.

Kati usiadła z powrotem na swoim miejscu, również ciekawość innych wydawała się zaspokojona. W każdym razie znowu pochylili się nad swoimi pracami. Tylko ja stałam dalej jak głupia obok stolika.

- Gdybyś oddała mi jeszcze te listy, które tam trzymasz w ręce, mogłabyś pisać dalej - odezwał się Piwi delikatnie prowokacyjnym tonem.

No pewnie, jasne, musiałam mu je oddać. Taki też miałam początkowo zamiar. Zanim stwierdziłam, że w poczcie znajdował się mój własny list. Przecież teraz nie mogłam mu go sama wręczyć! Ale nie mogłam też sprawić, żeby szybko i niepostrzeżenie zniknął. Los stawiał mnie w tragicznej sytuacji, kiedy człowiekowi nie była dana żadna inna możliwość, jak tylko świadomie zrobić to, co niewłaściwe!

Do diabła! Nadal nie ruszałam się z miejsca, więc Piwi podszedł do mnie i wyciągnął znowu rękę, żeby wziąć ode mnie swoją pocztę. Podałam mu najpierw gazetę i dużą kopertę, potem małe listy. Biała koperta paliła mi rękę. Trzęsłam się jak osika. Teraz jeszcze tylko odpowiednie zakłęcie i list rozplynie się w powietrzu, pozostawiając małą chmurkę różowego dymu. Ale niestety nie byłam taką uzdolnioną czarownicą jak Kati, której na pewno by się to udało.

Stało się to, co nieuniknione!

- Naprawdę wyglądasz na chorą - zaniepokoił się Piwi i wyjął list z mojej drżącej

łapy, dziękując za pomoc.

Minęło, pomyślałam sobie, było, minęło, i już nie wróci. Nic na świecie nie odwiedzie go od tego, żaby przeczytać ten list... tu i teraz! Ziemi, rozstap się!

Ale podłoga w naszej klasie była z solidnego żelazobetonu i nie myślała nawet o tym, żeby pochłonać skruszoną grzesznicę.

Zrozpaczona opadłam na krzesło. Czy ja właściwie musiałam zajmować miejsce naprzeciwko stołu nauczycielskiego? Jak ja się cieszyłam, kiedy ku niezadowoleniu Vanessy udało mi się j zdobyć i podczas lekcji być jak najbliżej Piwiego. Z radością zgarnęłam je Vanessie sprzed nosa. Chociaż, dwa-trzy rzędy między mną a nim to było jeszcze za mało, żeby zneutralizować obecną sytuację. Spuściłam głowę nad swoją pracą jak tylko mogłam najbardziej.

Niesamowicie szybko otwierał jeden list po drugim

Zeżowałam na niego spod grzywki, która jak zasłona ochronna opadała na czoło.

Teraz... teraz miał w ręce kopertę z papieru czerpanego! Odwrócił ją, żeby sprawdzić nadawcę. Wziął ołówek i otworzył ją. Ten dźwięk przeraźliwie zabrzmiał w moich uszach. Nie mogłam już na to patrzeć i spuściłam wzrok na leżący przede mną wiersz.

Ach, czemuż to miecz tak czerwony od krwi?

Edwardzie, o, Edwardzie!

Na śmierć zatukłem mego czerwonego rumaka.

O matko, matko!

No, to się nie spodoba Vanessie. Martwe rumaki!

Chociaż właściwie nie chciałam wiedzieć, co się dzieje za stołem nauczycielskim, moje zmysły były tym całkowicie zajęte. Słyszałam jak wyciągał list z koperty, rozkładał... wydawało mi się nawet, że słyszę, jak go czyta... bo czytaniu towarzyszyły kolejne zdumione oddechy.

Trudno, musiałam jeszcze raz rzucić na niego okiem. Znowu wybrałam najbardziej nieodpowiedni moment. On też podniósł wzrok. Nasze spojrzenia spotkały się i wbiły w siebie przed chwilę, potem nie wytrzymałam i spuściłam rozpaloną głowę.

Czułam, że dalej na mnie patrzy. O w mordę, ale obciach! Kompletnie wypadłam z roli, a gdyby trochę pokombinował, od razu doszedłby, dlaczego.

Ale on nie kombinował. Albo nie w tym kierunku. W każdym razie powiedział do mnie zupełnie normalnym tonem:

- Dalej ci niedobrze? Jeśli nie możesz, nie musisz pisać pracy do końca. Naprawdę nie, Milu. Chcesz się na chwilę położyć? Czy ktoś ma cię zaprowadzić do pielęgniarki?

- Ja to zrobię! - zaoferował się od razu Markus.

Kiwnęłam głową. Było mi wszystko jedno, kto i gdzie mnie zaprowadzi, najważniejsze, żeby stąd wyjść.

- Dobrze, Markus, będziesz tak miły? Możesz nadrobić ten stracony czas i pisać przez długą przerwę. Życzę powrotu do zdrowia, Milu.

Wstałam i opuściłam klasę z Markusem.

Kiedy przechodziłam obok stojącego przy drzwiach stolika Vanessy, ta głupia krowa spojrzała na mnie nieprzychylnie i syknęła:

- Fajna sztuczka, żeby nie pisać pracy klasowej!

Zanim powiedziałam cokolwiek na moje usprawiedliwienie, Markus rzucił do niej:

- Zajmij się swoimi sprawami!

Byłam mu za to niezmiernie wdzięczna.

Poszedł do woźnego po klucze do pokoju sanitarnego.

Kiedy w końcu z zamkniętymi oczami leżałam tak na kozetce, usłyszałam, jak Markus przysuwa sobie taboret i siada obok. Nie było to dla mnie przyjemne. Jakoś czułam, że wpadłam z deszczu pod rynnę. Przebywanie z tym chłopakiem w jednym

ciasnym pomieszczeniu nie mogło się przyczynić do polepszenia mojego stanu. Na pewno cały czas się na mnie gapił.

Nerwowo otworzyłam oczy. Żeby powiedzieć cokolwiek, zagadałam o zbliżającej się wycieczce:

- Pan Winter jest zachwycony, że zaprosiłeś nas do siebie. To naprawdę miło ze strony twojego ojca, że nam na to pozwala. Moja mama dostałaby szału, gdybym jej zaproponowała coś takiego.

Markus się roześmiał.

- Dwadzieścia pięć osób w salonie fryzjerskim to naprawdę dużo! U nas to się jakoś rozłoży!

- Macie dużo zwierząt? Pan Winter wyobraża sobie, że u was można znaleźć wszystkie zwierzęta domowe z książki do biologii.

- Mamy trochę. Ale głównie konie. Hodujemy konie wierzchowe. Mój tato jest nauczycielem jazdy konnej i koniarzem.

Ach, prawdopodobnie Vanessa to wiedziała i dlatego tak się do niego powalała. Dla niej, jeźdźca z pasją, związek z Markusem byłby absolutnym hitem.

- No to Vanessa zarezerwuje u was od razu urlop w siodle.

Markus spojrział na mnie jakoś dziwnie, tak jakby wyczuł zazdrość w moim głosie. Ale parsknął śmiechem:

- Dla niej nie ma u nas miejsca. Nie jesteśmy w aż takich tarapatach, żebyśmy byli od niej zależni. Jeśli jekieś dziewczyny w ogóle nie robią na mnie wrażenia, to właśnie takie fałszywe głupie gęsi jak ona. Twoja przyjaciółka Hanna i ty podobacie mi się o wiele bardziej.

Udałam, że nie usłyszałam tego ostatniego i powiedziałam:

- Ale to byłoby jej marzenie. - Potem zaczęłam udawać ton Vanessy: - Klusować u twego boku przez pola... ach, co ja mówię... oczywiście galopować.

Zaczęliśmy chichotać. Lody między nami zostały przełamane.

Narzekaliśmy jeszcze przez chwilę na dziwactwa Vanessy, potem zdobyłam się na odwagę i zapytałam:

- Dlaczego mieszkasz tylko z ojcem? Czy twoi rodzice się rozwiedli?

Markus pokręcił głową i odparł z niespotykaną powagą:

- Nie. Moi rodzice bardzo się kochali. Nigdy by się nie rozwiedli. Mama nie żyje.

Dwa lata temu miała wypadek na koniu.

- Przykro mi. - Zrobiło mi się głupio. - Nie wiedziałam, nie powinnam była cię o to pytać.

- W porządku. Nie mogłaś o niczym wiedzieć. Miło, że w ogóle cię to interesuje. To było ciężkie dla mojego taty.

- A dla ciebie? Nie mówisz wcale o sobie. Dla ciebie to też musiało być bardzo trudne. Czy jej nie kochałeś?

Przeraziłam się, słysząc własne pytanie. Skąd mi to przyszło do głowy? Nie miałam prawa do tego, żeby zadawać Markusowi takie pytania! Nie byliśmy nigdy specjalnie blisko. W każdym razie z mojej strony/ Zachowywałam zawsze dystans, żeby nie paść ofiarą jego zaczepek. A teraz siedziałam z nim w małym pomieszczeniu i pytałam, czy kochał swoją matkę. Dzisiaj naprawdę było ze mną coś nie tak.

- Jasne, że ją kochałem! Była najwspanialszą kobietą na świecie. Bardzo mi jej brakuje. Są dni, kiedy nie mogę uwierzyć, że nie żyje. Potem idę po jej konia Sarabande do stajni i jadę w jej ulubione miejsce nad rzeką. Tam umarła.

- Powiesz mi, jak to się stało?

- Nie wiemy. Koń ją zrzucił, może się potknął, a ona prawdopodobnie uderzyła głową o skałę w rzece. Znaleźliśmy ją po rozpaczliwych poszukiwaniach wieczorem w rzece, leżała do połowy w wodzie, utpoiona.

Milczeliśmy.

- W lecie zawsze się tam kapaliśmy. Jak byłem jeszcze mały, zawsze pryskała na mnie wodą. Była taka dzika i rozbrykana jak ty.

Przełknęłam ślinę. Nie, pomyślałam, nie porównuj mnie ze swoją nieżyjącą matką. To za duża bliskość. Nie między tobą i mną! To nie pasuje, to naprawdę nie na miejscu!

Nagle podniosłam się z leżanki.

- Już mi lepiej. Może wyjdę jeszcze na świeże powietrze, a ty powinieneś skończyć pracę.

- To nie takie ważne. - Wcale się nie śpieszył, ale kiedy zauważył, że nie może mnie zatrzymać, też wstał. - OK, wejdiesz jeszcze na górę czy mam powiedzieć Piwiemu, że jesteś zdrowa?

Nie chciałam go tak zostawić, więc poszłam z nim na górę. Duża przerwa właśnie się zaczęła i wszyscy uczniowie cieszyli się wspaniałym słońcem na podwórku. Korytarze były jak wymarłe.

Kiedy byliśmy na pierwszym piętrze i wychodziliśmy zza zakrętu korytarza, zobaczyliśmy Vanessę i nauczycielkę biologii przed pracownią biologiczną. Markus złapał mnie szybko za ramię i zaciągnął z powrotem za róg.

- Co to ma znaczyć? - warknęłam.

Położył palec na usta.

- Pst! Sam nie wiem - szepnął - ale mam dziwne przeczucie, że tu coś nie gra.

Nie rozumiałam wprawdzie od razu, ale byłam cicho. Ostrożnie wyjrzał zza rogu.

- Vanessa każe sobie otworzyć pracownię. Czego ona tam szuka podczas przerwy?

- Nie mam pojęcia. Może chce nakrmić swoje muszki?

- Może. A może nie.

Słyszeliśmy nadchodzącą grobnymi krokami nauczycielkę biologii. Już do nas skręcała.

- Co wy tu robicie? Wicie przecież, że podczas dużej przerwy uczniowie nie mogą przebywać w budynku. Wyjdźcie na słońce.

Zrezygnowaliśmy z długich wyjaśnień na temat naszej nieobecności i udaliśmy się w kierunku pracowni biologicznej.

Przed salą Markus zwołał kroku i pokazał mi, że mam być cicho. Podkradliśmy się bliżej. Drzwi były tylko przymknięte. Markus uchylił je, robiąc szparę. Dokładnie tak, że mogliśmy zobaczyć kąt pracowni, w którym stały nasze probówki. Nie wiem sama, czego oczekiwaliśmy, ale to, co potem zobaczyliśmy, przynajmniej coś mi wyjaśniło. Szczególnie dziwne znikanie moich muszek.

Vanessa stała przy stole z probówkami, wyciągnęła z jednej korek i potrząsnęła nią. Widziałam, jak z probówki podniosła się chumra muszek i uciekła przez otwarte okno.

Nie mogłam się opanować. Co za wredna baba!

- To moje! To na pewno moje! - pieniałam się ze złości. - Zapłaci mi za to!

Gdyby Markus mnie nie powstrzymał, rzuciłabym się na nią natychmiast.

- Nie - szepnął. - Nie mamy jeszcze żadnych dowodów. Nie wiemy nawet, czy to były twoje muszki.

- Przecież ty też to widziałeś. Jesteś świadkiem! Wierzysz, że wypuszcza własne muszki?

- Nie, jasne, że nie. Chodź, powiem ci, co zorbimy. - Przymknął drzwi i zabrał mnie z miejsca przestępstwa.

- Muszę teraz skończyć pracę, inaczej będę miał nieprzyjemności - stwierdził Markus, kiedy szliśmy korytarzem w kierunku klasy. - Powiesz, że jesteś już zdrowa i pójdziesz na przerwę. Schodząc na dół, zajrzysz jeszcze niby przypadkiem do pracowni. Sprawdź, czy to naprawdę były twoje muszki, ale nie dotykaj probówki. Na

pewno są na niej odciski palców Vanessy, tak ją załatwimy.

Spojrzałam na niego zafascynowana. Kurczę, z Markusa byłby niezły detektyw! Ale odjazd.

Zrobiłam dokładnie to, co mi kazał. To znaczy chciałam to zrobić. Ale kiedy złapałam za drzwi do pracowni biologicznej od zewnątrz, Vanessa pociągnęła je od wewnątrz i stanęłyśmy naprzeciwko siebie, oko w oko. Tego już było za wiele! Nie mogłam znieść jej aroganckiego uśmiechu, nie po tym, co właśnie zobaczyłam. Po prostu nie miałam zdolności taktycznych. Musiałam dać ujście temu, co mnie gnębiło, a niesprawiedliwości nie mogłam znieść.

- Co zrobiłaś z moimi muszkami?! - Niemądrze skonfrontowałam ją od razu z naszymi obserwacjami.

- Z twoimi muszkami? Co ja mam z nimi wspólnego? Dawałam swoim pozycję. Masz coś przeciwko temu?

Markus miał rację. Była tak bezczelna, że oczywiście wszystkiemu zaprzeczyła. Ale ja ją zmuszę do gadania!

- Jesteś sabotażystką! - darłam się. - Maczałaś w tym swoje obrzydliwe, brudne paluchy! Wypuściłaś moje muszki! Wszystko widzieliśmy, Markus i ja! Nawet nie musisz zaprzeczać! - Głoś mi się łamał ze zdenerwowania. - Majstrowałaś przy moim eksperymencie! To twoja wina, że zawsze mi się coś nie udaje! Chciałaś mi uniemożliwić udział w konkursie!

Vanessa się zaczerwieniła. Było jasne, że poczuła się przyłapana na gorącym uczynku. Żeby zakończyć tę przykrą sytuację, usiłowała precyzyjnie przycisnąć się obok mnie w drzwiach. Ale nawet nie myślałam o tym, żeby ją wypuścić i popchnęłam ją lekko z powrotem.

Natychmiast rzuciła się na mnie z furją, szarpała mnie za włosy i też zaczęła krzyczeć:

- Zabierz ode mnie te łapy! Odbiło ci? Twoje głupie muszki wcale mnie nie interesują! Możesz je sobie wsadzić gdzieś! Masz jakieś urojenia!

Dokładnie tak jak powiedział Markus, wszystkiego się wyparła.

- Sama dokładnie widziałam! Wypuściłaś je!

- Udowodnij to! - rzuciła kąśliwie.

O kurczę. Nie zdążyłam nawet zabezpieczyć materiałów dowodowych. Teraz było już za późno.

- Co się tu dzieje? - głos Karzełka Titelitury przebił się przez naszą głośnie kłótnię. - Milu, natychmiast puść włosy Vanessy! Czy ty w ogóle nie umiesz się zachować?

Kto tu był ślepy? Vanessa wczepiła się w moje włosy, a nie odwrotnie. Ale Karzełek nie dał sobie nic powiedzieć. Jeśli istniał jakiś nauczyciel, który nie uwierzyłby w ani jedno moje słowo, to był to właśnie Karzełek Titelitury.

Jednak spróbowałam. Wberw temu, co wiedziałam

- Vanessa zniszczyła mój eksperyment.... - zaczęłam, ale Karzełek od razu mnie zgasił.

- To mnie nie interesuje! Dziewczyny, które się biją, nie mają nic do szukania w gimnazjum! Nie mam zamiaru dłużej znosić twojego nieprzyzwoitego zachowania! Pójdiesz ze mną!

Jeszcze raz spróbowałam wyjaśnić mu sytuację, ale znowu mnie skasował, nie interesując się tym, co mam do powiedzenia.

- Znam cię, Milu - syknął i widać było, że w duchu bardzo się cieszy i tańczy w okół ognia. - Ty po prostu nie wiesz, co to dyscyplina. Ale już ja cię nauczę! Chodź ze mną.

Złapał mnie za ramię i wyciągnął z pracowni biologicznej. Potem popchnął mnie i powiedział:

- Do dyrektora!

No świetnie. Tego tylko mi brakowało po wszystkich wydarzeniach dzisiejszego dnia. Na tym dniu musiała spoczywać jakaś klątwa. To się mogło skończyć tylko porządną naganą!

Rozejrzała się dookoła, szukając pomocy. Czy w korytarzu nie było nikogo, kto by mnie obronił przed Karzełkiem Titelitury? Hanna i Kati, moje przyjaciółki, alebo przynajmniej Markus? Obejrzałam się. Vanessa stała przed pracownią biologiczną i śmiała się szyderczo. No, czekaj ty, pomyślałam wściekła, jeszcze pogadamy. Nie ujdzie ci to na sucho, przyrzekam ci! Spojrzała mi w oczy i gapiała się arogancko. Karzełek znowu mnie popchnął.

- Dalej, naprzód!

Na rogu korytarza potknęłam się i zderzyłam z Piwim. Gdyby mnie nie przytrzymał, na pewno upadłabym na podłogę.

Piwi! Niebo go zesłało! Opdałam w jego ramionach. Jeśli nadal będzie mnie trzymał, byłam uratowana. Gdyby udało mi się opowiedzieć mu, co się stało, na pewno by mi uwierzył. W końcu on też musiał zauważyć, że moja hodowla muszek mimo intensywnej opieki nie rozwijała się.

- Vanessa! - krzyknęłam. - Przyłapałam Vanessę na tym, jak wypuszczała moje muszki!

- Bzdura! - sapał ze złości Karzełek Titelitury. - To wszystko bzdury! Mila chce tylko odwrócić uwagę od tego, że znowu zachowała się absolutnie niestosownie! Gimnazjalistka, która się bija! Nie muszę panu mówić, młody kolego, że nie mogę puścić płazem takiego zachowania.

Spojrzałam na Piwiego błagalnie. Nie wierz mu, pomyślałam przy tym. Nie wierz mu, on mnie nie cierpi. Ale ty mnie lubisz, musisz przecież wiedzieć, że mówię prawdę! Trzymaj mnie mocno, proszę, trzymaj mnie dalej.

Piwi mnie puścił. Jasne, nie mógł mnie wiecznie trzymać. Poza tym zadzwonił dzwonek oznaczający koniec przerwy i uczniowie schodzili się do klas. Wokół nas zgromadziła się grupka uczniów.

- Dokąd ją pan prowadzi?

- Do Direxa - powiedziałam, zanim Karzełek Titelitury zdążył się odezwać.

- Panie kolego - Piwi zwrócił się niesamowicie uprzejmie do Karzełka. - Chodzi o uczennicę biorącą udział w moim projekcie, więc chętnie najpierw sam wyjaśniłbym tę sprawę. Jestem panu bardzo wdzięczny za interwencję i podzielam pańską opinię dotyczącą stosowania przemocy w szkole. Ale, jak już mówiłem, najpierw sam chętnie bym to wyjaśnił.

O nieba, mówił jak wędrowny kaznodzieja. Czy to się na coś zda? Nie znał mojego matematyka.

Karzełek Titelitury spojrzał na Piwiego, jakby mu życzył wszystkiego najgorszego. Ale że nie przyszła mu do głowy żadna odpowiedź, warknął tylko niechętnie:

- Jeśli nie ma pan nic innego do roboty... - I urażony poszedł w kierunku pokoju nauczycielskiego.

Nie mogłam już powstrzymać łez wściekłości. Byłam wkurzona to, jak potraktował mnie Karzełek Titelitury. Poza tym byłam wprawdzie wdzięczna Piwimu za okazane mi wsparcie, wstydziłam się jednak za swój list, który na pewno już przeczytał. Zezowałam w jego kierunku, kiedy razem szliśmy do klasy. Nie dał nic po sobie poznać i miałam nadzieję, że moja tożsamość nadal pozostaje tajemnicą.

Na pewno już więcej nie podejmę takiej akcji, nawet jeśli bym go niesamowicie ubóstwiała. To było po prostu zbyt poniżające!

- Co się właściwie wydarzyło? - spytał w drodze do klasy, a ja opowiedziałam mu, co widziałam razem z Markusem. Zamyślił się.

- Vanessa lubi być w centrum zainteresowania, nieprawdaż?
Nie wiedziałam, co mam odpowiedzieć na tak trafne sformułowanie, więc milczałam.

- Zwróciłem już na to uwagę w różnych sytuacjach. To inteligentna, ale szczególnie wkurzająca dziewczyna.
No, jeśli on tak mówił... co racja, to racja.
Lekcja już się zaczęła, a kiedy szliśmy razem cichym korytarzem, dodał na pocieszenie:

- Damy sobie radę. Nie martw się. W najbliższym czasie wyjaśnimy to z Vanessą. Pociągnęłam tylko nosem, bo nadal po twarzy spływały mi łzy.
Kiedy przechodziliśmy obok toalet, powiedział:
- Idź się trochę odświeżyć. Nie wszyscy muszą wiedzieć, że były jakieś problemy. Wróc, jak się uspokoisz. Idę już do klasy.
O nie, jaki on był taktowny. Uśmiechnęłam się do niego z wdzięcznością przez łzy, potem zniknęłam w łazience.
W lustrze zobaczyłam na swojej twarzy obraz nędzy i rozpacz. Neeee, tak nie mogłam wrócić do klasy.
Ach, Piwi. Jaki on jest wrażliwy, jaki taktowny, jaki opiekuńczy!!! Moja wdzięczność nie znała granic.
Odkręciłam kran i kilkakrotnie ochlapałam sobie twarz zimną wodą.
Zaraz poczułam się bardziej świeżo i moje samopoczucie poprawiło się. Nie pozwolę, żeby ta głupia krowa mnie zniszczyła.
I jedno było jasne: chociaż tak się kleiła do Piwiego, on na nią nie leciał, w przeciwnym razie nie powiedziałby, że jest wkurzająca. I to mnie bardzo cieszyło.

ROZDZIAŁ SIÓDMY: Nowy kochaś mamy

Kiedy wróciłam do domu, już w przedpokoju dziwnie pachniało. Odłożyłam kurtkę i torbę i ten osobliwy zapach zaprowadził mnie do kuchni. Mama jeszcze w rozsypce, rozpalona od kuchenki, mieszała w kilku garnkach jednocześnie.

- Co w ciebie wstąpiło? - spytałam, nic nie rozumiejąc, bo musiałabym sprawdzić w kalendarzu, kiedy ostatni raz coś ugotowała. Było to tak dawno temu i zdarzało się tak rzadko, że na pewno zaznaczyłam tę datę czerwonym flamastrem.

- Gotuję - burknęła mama i mieszała dalej.
- Ale to nie było konieczne - powiedziałam i zafascynowana dalej stałam w drzwiach. - A co to takiego będzie?
- Chińska potrawka z ryżem.
- Chińska?!!! - Zwalilo mnie z nóg. - To dlatego tak dziwnie tu pachnie. Wykupiłaś cały sklep z chińską żywnością?
Zachichotała jak nastolatka.
- Nie cały, ale prawie!
Przyglądałam się, jak rozwałkowuje białe ciasto, wycina z niego kwadraty, nakłada na każdy łyżkę czegoś drobno pokrojonego, jakiejś bliżej nieokreślonej masy, i zlepia w pierogi.

- No i co to będzie? - nie mogłam już opanować rozbudzonej ciekawości.
- Won ton. Małe pierożki z nadzieniem warzywnym do prawdziwej chińskiej zupy.
- Chińskiej zupy? Czy tylko na nas dwie to nie za dużo pracy?
Mama kontynuowała produkcję pierożków.

- Dzisiaj wieczorem będziemy miały gościa.

Zapaliła mi się lampka alarmowa!

- Gościa? My? Chyba chciałaś powiedzieć, że ty będziesz miała gościa? Twój nowy kochaś?

Mama umyła ręce, wytarła dokładnie, i odgarnęła sobie włosy ze spoconego czoła.

- Nie.. tak.. eee... - na chwilę zamilkła - ...obie będziemy miały gościa. Myślałam... że muszę cię z nim poznać... to znaczy... właściwie to nie jest konieczne... ale z drugiej strony, to znaczy oficjalnie... to znaczy... nie znasz go jako mojego faceta i dlatego jesteśmy zdania, że ty i ja, i on... to znaczy... w każdym razie chciałam najpierw ugotować dla nas trojga coś pysznego.

O kurczę! Co się z nią działo? Ale się postarała. Czy tak jej zależało na tym facecie, że koniecznie musiała mnie w to wciągnąć?

Wcale mi to nie pasowało. Jeszcze bardziej niż kiedykolwiek nie miałam ochoty mieszać się w jej związki, teraz, kiedy zaczęłam mieć własne. W końcu nasza cicha umowa wydawała się do tej pory funkcjonować całkiem dobrze.

Czyżby mama obawiała się o swoją przyszłość i miała co do tego faceta poważne zamiary? Nie bez powodu sprowadzała go do domu. A to całe gotowanie!!! To było bardziej niż alarmujące! Powodowało u mnie panikę. Nie mogła przecież poświęcić naszej cudownej i ciepłej samotności we dwie jakiemuś irracjonalnemu impulsowi. Bo fakt, że jej chwilowe zakochanie nie mogło mieć związku z rozsądnym planowaniem przyszłości i dlatego wiele jej chaotycznych akcji z góry było skazanych na niepowodzenie, był oczywisty dla każdego względnie logicznie myślącego człowieka.

Prawdopodobnie znowu wiele hałasu o nic!

Niez mordowanie nadal uwiajała się przy swoim menu.

Byłam już trochę ciekawa, co to za typ. Kim był bohater, który zagonił mamę do kuchenki?! Musiał mieć magiczną aurę. Czy to Chińczyk?

- Czy on jest Chińczykiem?

Roześmiała się i kroїła filet z wieprzowiny na paseczki.

- Nie, dlaczego?

- No, może być tak, że poprzez swoje kulinarne wyczyny chcesz wywołać u niego tesknotę za domem. To podobno bardzo działa na mężczyzn.

- Skąd masz taką zadziwiającą wiedzę?

- Od Kati. Jeje mama jest bardzo utalentowaną kucharką.

- I zdobywczynią męskich serc?

W odpowiedzi na złośliwą uwagę mamy pokręciłam przecząco głową. Nie, tego sportu mama Kati o sarnich oczach raczej nie uprawiała, chociaż jej sztuka kulinarna zrobiła na Florianie wilekie wrażenie. Na ostatniej kartce, jaką przysłał Kati, były pozdrowienia dla jej mamy, w których jeszcze raz dziękował za pyszne jedzenie. No tak, cały Florian!

- Czy możesz wyplukać szpinak? - Mama wcisnęła mi do ręki sitko i kupkę liści szpinaku.

Podstawiłam je pod strumień wody. Wyplęzło dość dużo piasku.

- Po co ten szpinak?

- To ozdoba do zupy won ton.

Aha. Osuszyłam liście i włożyłam je na deskę z ręcznikiem kuchennym.

- Brdzo ładnie - westchnęła mama zadowolona, zonglując upieczonym kurczakiem i buteleczką sosu sojowego.

- Chiang yu chi - przeczytała głośno z książki kucharskiej. - Kurczak w sosie sojowym.

Brzmiało jakoś mało dramatycznie.

- Nie masz niczego bardziej reprezentacyjnego? - prowokowałam ją. - Na przykład

złota galera kogutków w wywarze z liczi na słodko-kwaśno!

W którymś garnku zaczęło się mocno gotować, bo podskakiwała pokrywka. Chyba za wcześnie, bo mama podniosła ją, wypuściła z palców, krzycząc:

- Oj, gorące! - i powiedziała so mnie zdenerwowana: - Ach, zostaw mnie teraz samą, muszę się supić. Możesz nakryć stół, jak chcesz. Kupiłam chińskie naczynia, poustawiaj je ładnie. Wok na środek, chcę przygotować filet z wieprzowiny przy stole.

Reczywiście, w kącikujadalnym w salonie stała wielka torba z idealnym chińskim zestwaem obiadowym.

- Która chińska restauracja zbankrutowała? - zawołałam, bo cały te kram można było kupić tylko na jakiejś aukcji po zamknięciu knajpy. Była tam nawet wiązka lakierowanych pałeczek.

- Będziemy jeść pałeczkami?

- Dlaczego nie? - odpowiedziała. - Połóż je na stole, to bardzo stylowe!

Stylowe! O Boże, musiała być naprawdę zakochana, jeśli narażała się na takie koszty i myślała jeszcze o stylu.

Zaczęłam czuć się dziwnie. Facet wydawał się stanowić dla mnie prawdziwe zagrożenie. Musiałam szybko coś wymyślić. Markotnie rozstawiałam miszeczki, wok z maszynką spirytusową i kładałam pałeczki na sotle nakrytym białym obrusem.

Właściwie miałam ochotę zwinąć się, zanim mama go przyprowadzi. Skoczyć do kina albo do Kati, postawić karty tarota albo pogapić się w kryształową kulę, co zawsze działało rozluźniająco. Ale ta cała historia zaczęła budzić moje wątpliwości. Zaangażowanie mamy było zbyt niespotykane, żenym mogła zostawić ją z nim samą. Musiałam mieć sytuację pod kontrolą. To oznaczało, że chcąc nie chcąc musiałam się wgryźć w tego kurczaka na słodko-kwaśno.

Kiedy sytuacja stanie się krytyczna, mogłam zawsze zachować się tak nieprzyzwoicie, żeby facet już nigdy nie przekroczył progu naszego domu. Ostatnio zastosowałam tę metodę, kiedy miałam siedem lat, ale nic mnie nie powstrzymało, żeby jej użyć również teraz. Nic nie odstraszało kochanków matek samotnie wychowujących dzieci skuteczniej niż wredny bahor!!! Wszystko jedno: mały czy nastolatek. Wredny to wredny!!! Co było dokładnie widać na świetlanym przykładzie Vanessy. Każdy męski osobnik omijał ją szerokim łukiem.

Stół był nakryty.

Poczłapałam znowu do kuchni.

- No dobrze - powiedziałam łaskawym tonem - obejrzę sobie twoją najświeższą zdobycz. Zostanę na obiedzie.

Zrobiłabym lepiej, gdybym uciekła zawczasu. Ale nie spodziewając się niczego złego, usiadłam do reszty zadań domowych.

Karzelek Titelitury zażądał potęgoawania, a Piwi zadał nam wiersz do interpretacji.

Sięgnęłam po kopię, na którą nie rzuciłam nawet dotąd okiem, i przeczytałam:

To, że mnie kochasz, wiedziałem,

Już dawno to odkryłem;

Jednak gdy mi to wyznałaś,

Bardzo się wystraszyłem.

Ach, ty stokrotko z oberwanymi płatkami! Co to miało być? Wiersz miłosny Piwiego? Nie mogłam się opanować, zrobiło mi się gorąco i ręce trzymające kartkę zaczęły drżeć w niekontrolowany sposób.

To nie mógł być przypadek!

Przedwczoraj wysłałam do niego mój list miłosny, a dzisiaj zadał nam taki wiersz! ... *gdy mi to wyznałaś, bardzo się wystraszyłem*.... To mogła być tylko odpowiedź na moje wyznanie. To na pewno nie był materiał obowiązkowy dal ósmej klasy. Spojrzałam na autora. Henrich Heine. Czy on w ogóle pisał ballady?

- Mamo! - zawołałam w stronę kuchni. - Czy Henrich Heine pisał ballady? - Była w końcu asem teleturniejów, może wiedziała.

- Co z tym Heinem? - odrzyknęła.

- Czy on pisał ballady?

- Ballady? Skąd wytrzasnęłaś takie pytanie akurat teraz?

Poczłapałam do kuchni. Mama wyglądała jakoś dziwnie. Może powinna przynajmniej założyć fartuch, żeby ochronić swoje eleganckie dzinsy. I byłam pewna, że kaszmirowy czarny sweterek pochłaniał opary z gotowania. Bawełniana bluzeczka i wytarte levisy byłby w kuchni bardziej odpowiednie. Ale czegoś takiego moja mama nie wkładała na siebie, odkąd przekroczyła trzydziestkę. "Kobieta biznesu musi mieć styl" - to był jej pogląd. No, byłam ciekawa faceta, który polecał na jej styl.

Ale teraz miałam w głowie co innego - miłosny wiersz Piwiego.

- Henrich Heine - powtórzyłam pytanie. - Czy on pisał ballady? - Było w końcu ważne, czy ten wiersz w ogóle pasował do programu nauczania.

Pasował. Ale tylko częściowo.

- Pisał. Przynajmniej jedną. O Lorelei. Siedzi ona na skale na Renem i czesze swoje złote włosy, i śpiewa, i kusi swym śpiewem biednych, zaślepionych rybaków, którzy giną. Miałam to kiedyś w szkole.

Mama miesza jakąś pastę.

- Można też tę balladę zaśpiewać - I nie zważając na mój wyczulony słuch, zanuciła kawałek.

Uciekłam z powrotem do swojego pokoju. No dobrze. Heine był w jakimś sensie uwarunkowany programem nauczania - ale ten wiersz miłosny? Na pewno Piwi powinien nam zadać balladę o Lorelei i tylko dlatego, że chciał nieznanej adoratorce, czyli mnie, dać znak, wybrał ten wiersz miłosny. Nie mogło być inaczej.

Moje wyznanie miłości do głębi nim wstrząsnęło. Ach, biedaczek!

Czytałam dalej.

*Wszedłem na szczyty gór,
Cieszyłem się, śpiewałem,
Zaś o słońca zachodzie,
Nad morzem gdzieś, szlochałem.*

Ale odlot, to było totalnie romantyczne, graniczyło z kiczem! A ja starałam się nie łać wody. No tak, trzeba to wybaczyć niemieckiemu poecie. A ale ostatnia strofa nie była już pierwszej jakości.

*Moje serce jak słońce,
Mieszka w nim ogień,
A w morzu miłości
Wielkie i piękne tonie.*

Odjazd! Takie teksty czytałam dotąd tylko w "Bravo Girl"!

Zobaczmy, co Piwi napisał pod wierszem. *Heine napisał ten i piętnaście innych wierszy z okazji pobytu nad morzem w Dieppe, we Francji, w lecie 1832r.*

Musiało go niezłe dopaść, jeśli już podczas flirtu na wakacjach nachodziły go takie bombastyczne wizje!

Zaczęłam obgryzać długopis. Co ja miałam tu zinterpretować? Dla mnie sprawa była całkiem jasna. Piwi dostał mój list miłosny i chciał niepostrzeżenie poinformować swoją nieznaną adoratorkę, że list najpierw go wprowadził w przestraszenie, ale potem bardzo uszczęśliwił. Poczłapał się jak Henrich Heine i tonał w cudownym morzu miłości.

Nie mogłam tego napisać w zadaniu domowym, ale dokładnie to zamierzałam osiągnąć listem!

Ech, co tam te prymitywne SMS-y kóré wymieniał z Vanessą na nic nie znaczące tematy szkolne! Nie potrzebowałam tego! Na tym poziomie mógł sobie spokojnie z nią

esemesować. Korespondowałam z nim na wyższej, duchowej płaszczyźnie, czuł się przez mnie kochany. Jak najbardziej słusznie.

Kiedyś, jak ujawnię moją tożsamość, on też mnie pokocha!

Podskoczyłam w górę i popędziłam do ogrodu, zerwałam parę kwiatków i śpiewając pod nosem, przyniosłam je do jadalni, żeby udekorować nimi stół. Miałam ochotę oblać cały świat!

*To że mnie kochasz, wiedziałem,
Już dawno to odkryłem...*

Co za cudowny sposób, żeby odpowiedzieć na mój list. Uczynił mnie przez to najszcześniejszą dziewczyną na świecie.

A że tak się stało, byłam gotowa przyznać mamie prawo do odrobiny szczęścia! Może facet był całkiem miły? Co w tym złego, jeśli z nimi zostanę i będę udawać dobrze wychowaną córeczkę?

Mila potrafiła być wspaniałomyślna!

Nie powinnam być aż tak wspaniałomyślna. Oszczędziłabym sobie wiele. W każdym razie na początek! Ale niezbadane są koleje losu.

Mama zakończyła przygotowania i była jeszcze w łazience, żeby poprawić nieco swój wygląd, kiedy zadzwonił dzwonek do drzwi.

- Milu, możesz otworzyć? - zawołała z góry.

No dobrze, mogłam to zrobić.

Zgarnęłam moje materiały do niemieckiego na kupkę i poszłam do drzwi. Byłam naprawdę ciekawa, dla kogo to moja mama tak gotuje.

Otworzyłam drzwi.

- Zapraszam... - "do środka" chciałam powiedzieć, ale słowa uwięzły w gardle. Nie, nie, myślała, to nie może być prawda! O, niebieskie moce, nie róbcie mi tego! Niech to nie będzie prawda! Ale moce niebieskie już chyba rzuciły kości i decyzja zapadła. Musiałam zjeść tę żabę, uśmiechając się przyjaźnie na naszym progu.

- Cześć - powiedział Piwi, przezywając moje bezgłośnie przerażenie. - Mogę wejść do środka? Twoja mama mnie zaprosiła.

To był on, jego ostatnie słowa nie pozostawiały żadnych wątpliwości. Przyszedł, bo mama go zaprosiła.

Pozwolił się jej rozpieszczać chińskim jedzeniem, jednocześnie pławiąc się w mojej miłości! Oszaleję, pomyślałam sobie. Rzucę się z wierzowca!

Patrzyłam na niego i nie byłam w stanie odezwać się ani słowem, łzy żalu i bezsilnej wściekłości zasłaniały mi go. Charakterystyczna, jak zwykle nieogolona twarz rozplywała się przed moimi oczami, a kiedy zbliżył się do mnie o krok, na oślep rzuciłam się na zewnątrz, małymi schodami do garażu. Nie namyślając się, złapałam rower, wskoczyłam na siodelko i popędziłam przed siebie. Gdziekolwiek. Wszystko jedno dokąd. Byle przed siebie, daleko, daleko, daleko od tej przerażającej sytuacji, tej trzeciorzędnej inscenizacji zrzędzenia losu!

Gorzej nie mogło być nawet w telenoweli! Co za niemożliwa akcja! Naprawdę to było okropne, że moja mama umawiała się z moim nauczycielem, i to dokładnie tym, w którym od tygodni byłam beznadziejnie zakochana i który odpowiedział właśnie wierszem na mój list miłosny! Gdzie było morze, do którego mogłam o zachodzie słońca wylewać me łzy?!!!

Prwaie nic nie widząc, minęłam boisko sportowe i pojechałam w kierunku glinianek.

- Hej, ty głupia laluniu, uważaj, gdzie jedziesz! - ochrzanił mnie jakiś dresiarz, którego lekko potrąciłam.

O Boże, musiał chodzić ścieżką rowerową?

Nad brzegiem jeziora rzuciłam rower w trawę i położyłam się obok. Nie mogłam już myśleć, po głowie chodziły mi tylko głupie wersy: *To, że mnie kochasz, wiedziałem...* tak, tak, skoro wiedziałeś, jak mogłeś się zadawać z moją matką, ty... bagamisto! *Jednak gdy mi to wyznałaś, bardzo się wystraszyłem.* No wszystko jasne. A co ty sobie myślisz, jak ja się wystraszyłam!

Wszystkie moje przyjaciółki uważały mnie za wariatkę i odradzały mi to. Miały rację, związek uczennicy i nauczyciela, nawet jeśli tylko stażysty, nie ma prawa bytu, to musi człowieka przerażać. Ale serce... nie można nic na to poradzić, jeśli serce płonie. Przecież sam Henrich Heine mówi, że musi po prostu utonąć w morzu miłości!

Rzuciłam się na trawnik, położyłam głowę na skrzyżowanych ramionach i płakałam, płakałam.

W pewnym momencie brakło mi już łez, a serce było jak wyciśnięta gąbka. Wszystkie uczucia przestały istnieć, wymyte przez łzy.

Wejść do wody, pomyślałam. Wstanę i wejść powoli do jeziora. I będę sobie nucić niczym balladę o Lorelei: "Uczył to Piwi... swoją bezczelnością...".

Słońca zachodziło. Leżałam na łące. Zapadł zmrok. Znad ziemi zaczęła się unosić chłodna mgła. Jj maleńkie kropelki pojawiły się na mojej skórze. Trawa zrobiła się wilgotna.

Zostanę tutaj, będę tak leżeć, aż zgniję, pomyślałam. Dobrze im tak. Mojej matce bez serca, która przed te wszystkie lata doskonale obywatela się bez faceta, a teraz musiała wyciągnąć pazury właśnie po mojego nauczyciela! I temu bezczelnemu Piwiemu, który tak długo czarował mnie swoim urokiem, aż się w nim beznadziejnie zakochałam!

Czego bym dla niego nie zrobiła. Dla niego hodowałam nawet muszki z tą kretynką Vanessą!

I jak mi podziękował?

Rzucił się na moją matkę. Prawdopodobnie dlatego, że nosiła dzinsy bardziej stylowo niż jak i jeździła samochodem sportowym. A ja nie miałam jeszcze nawet prawa jazdy i w najbliższym czasie mieć nie będę.

Nie, dobrze im tak. Jeśli zechcą zbudować własne szczęście na moim nieszczęściu, to proszę bardzo! Ja w każdym razie zacznę wachać kwiatki od spodu!

Fuj, nie był to zbyt piękny zapach! Zadzwoń! Niech dzwoni. Ukaralam ją, nie reagując na dzwonek.

Nagle ogarnął mnie orzyptyw realizmu. Między całym moim bólem i wściekłością rozbłysła iskierka zdrowego rozsądku.

Kim ja właściwie jestem! Wystarczy, że dorośli ludzie się tak zachowują, ja nie będę się w każdym razie ośmieszać. Niech sobie Piwi siedzi z nią nad brzegiem Morza Północnego i płacze!

Jeśli o mnie chodziło, to już się nie znamy!

Mógł mnie wykreślić ze swojego projektu. Moje muszki i tak się ulotniły z powodu sabotażu Vanessy.

Najpierw wysłać SMS-y do Vanessy, a potem siedzieć sobie przy chińskiej kolacji przy świecach z moją mamą. Nieee, co za dużo, to niezdrowo!

Nie chciałam go już nigdy, ale to nigdy więcej widzieć! Czy pani Kempinski nie mogła wrócić? Niemowlę musiało się już nassać do syta jej mleka.

Może mogłabym zmienić szkołę. Było jeszcze parę gimnazjów w mieście, bez Piwiego. Najlepiej wybiorę takie z internatem. Bo do domu nie zaciągnie mnie nawet dziesięć koni.

Konie! Ach, jutro miała się odbyć nasza wycieczka do gospodarstwa Markusa. Beze mnie.

Wstałam i wzięłam rower. Co mam teraz zrobić?

Moja komórka znowu zaczęła dzwonić. Nie chciałam odbierać. To mogła być tylko moja mama. Na pewno się martwiła, bo tak po prostu uciekłam. A niech się martwi!

Prowadziłam rower obok siebie. Komórka się odezwała. Ktoś przysłał mi SMS-a.

No dobrze, mogę przeczytać. Zatrzymałam się i odpięłam komórkę od paska.

Jasne, mama: GDZIE JESTES, MILU? ODEZWIJ SIE, MARTWIE SIE. PIT TEŻ.

Też coś! Pit też! Mówiła już do niego Pit! Jasne, mogłam to sobie wyobrazić, biorąc pod uwagę zaawansowane studium kolacji przy świecach!

Coś mnie zakuło w serce. Mam zawał, przemknęło mi przez głowę. Dostanę zawału. Teraz, w tym miejscu. Padnę martwa i wypłaczą sobie oczy nad moim grobem.

Przestało mnie kłuć.

Ale ja nie chcę dalej żyć!!! Chcę paść martwa! Wszystko byłoby o wiele prostsze I wyobrażałam sobie, jak okropnie będzie wyglądać moje życie, jeśli przetrwam ten dramat.

Było ciemno i światło mojego roweru nie działało. Zostałam na ulicy sama i opuszczona - nie miałam już domu. Drżałam z zimna. Nie ma ciepłej zupki, która na mnie czekała, bo nie poniżę się do tego stopnia, żeby błagać mamę o miseczkę won ton. Nie ma ciepłego pokuju, bo wolę spać pod mostem, niż wrócić do domu, w którym oni ucztowali po chińsku, podczas gdy szczątki mojej miłości tonęły w morzu niczym "Titanic".

Obleciał mnie strach. Jeśli ktoś znajdzie mnie pod mostem albo na ławce w pakru i przyłoży mi lodowate ostrze noża do gardła? Żeby zamordować mnie skrytobójczo... też dobrze! To była tylko ich wina!

Z drógiej dtrony... może przejściowo znalazłabym schronienie u moich przyjaciółek? Na przykład u Kati. Przecież udzieliłam jej azylu, kiedy uciekała przed Florianem!

Wprawdzie nie miała komórki. Ale na pewno była w domu i mogłam z nią porozmawiać przez stary dobry telefon stacjonarny. Wybrałam jej numer i po chwili odebrała.

- Czy mogę dzisiaj u ciebie przenocować? - spytałam bez ogródek.

- Czy jest jakiś szczególny powód? - chciała wiedzieć.

- Hm, tak, moja mama sprowadziła sobie faceta.

To wystarczyło.

- Jasne - powiedziała tylko. - Ale zapytam jeszcze Felix, czy ma coś przeciwko.

Felix, mama Kati, nie miała, tak więc wskoczyłam na mojego nieoświetlonego osła w drutu i ostrożnie popedałowałam do Kati.

Przyjęła mnie parującą herbatą Yogi.

- Jak ty wyglądasz? - na mój widok zawłóła przerażona i zanim jej mama zdążyła mnie zobaczyć, wepchnęła mnie do łazienki.

- Umyj się najpierw, potem mi opowiesz, co się stało.

Spojrzałam do lustra i o mało nie padłam. Moje oczy były otoczone czerwonymi obwódkami, a na twarzy miałam trawę i brud. Zombi, przeszło mi przez głowę, stałam się zombi. I przez chwilę poczułam się jak żywy trup.

Potem przyszła Kati i dała mi myjkę i ręcznik.

Zakończyłam proces mycia i odświeżania i poszłam do jej pokoju.

- Załóż te dzinsy i koszulkę. Twoje ciuchy są kompletnie mokre! Znowy wpadłaś do stawu?

Ściągnęłam ciuchy i potrząsnęłam głową.

- Nie, zatopiłam się w morzu miłości!

Spojrzała na mnie, nic nie rozumiejąc. to było do przewidzenia.

- Nie odrobiłaś zadania? - spytałam.

- Zadania?

- Tan wiersz Heinego.

Roześmiała się.

- Ach, to. Słodki jest. Właśnie przepisałam go dla Floriana.

Gdybym nie korzystała z jej gościnności, zawyłałabym w tym momencie. Ale wypadało milczeć, więc zawinęłam się w szlafrok Kati. Usadawiłam się na jednej z jej indyjskich poduszek i małymi łyżkami popijałam herbatkę Yogi. Przynajmniej Kati nie zaczęła mnie gnębić.

- Mam ci postawić karty? - zapytała.

- Tak, proszę - powiedziałam posłusznie. Dzisiaj nie przerażą mnie ani Śmierć, ani Diabeł, ani Wisielec. - Mogę się złożyć, że w strefie przyszłości wyjdą mi Kochankowie.

I rzeczywiście tak się stało.

O, uwielbiana bogini losu, pomyślałam sobie, wybacz, że zwracam się do ciebie tak bezpośrednio, ale pozwól, że się głośno roześmieję. Przynajmniej raz!

Moja samotność była niezmierna. Widoki na przyszłość raczej marne i nienawidziłam swojego życia. Raz zrezygnowałam z ochronnego dystansu w stosunku do bliźnich, chociaż wiedziałam, że źle robię. Wyznałam istocie męskiej moje uczucie i musiało się to skończyć taką porażką! Nie mogłam się pokazać Piwiemu na oczy! I mamie oczywiście też nie.

Jasne, opowiadałam jej, że Piwi jest super, ale nie, że go kocham. A tego, że w saunie wypytywałam ją o nauczyciela tańca, na pewno nie połączyła z Piwim. Nikomu tak spontanicznie nie przychodzi do głowy, że czternastoletnia córka zakochuje się w prawie trzydziestoletnim nauczycielu!

Jak długo to już trwało między nimi? Ostrzygła go! To było gdzieś miesiąc temu!

Przeszło mi przez myśl coś okropnego - może był dla mnie taki miły, bo chciał ją zdobyć? Nigdy nie myślał o mnie, tylko widział we mnie córkę matki, do której chce się dobrać? Co za wstrętny, podły i seksistowski sposób myślenia. Poznałam to już jako małe dziecko. Czekolada, zabawki dla małej, i wycieczka do lunaparku, i bilety do kina, i lody... Czego faceci by nie zrobili, żeby tylko mama zaczęła z nimi kręcić!!! Chcieli się wkraść w moje łaski, nic więcej. Myśl, że Piwi był taki sam, sprawiała, że znowu łzy napływały mi do oczu.

Prawie nie spałam przez całą noc. Najpierw Kati próbowała mnie wyluzować, ale około północy w końcu chciała się dowiedzieć, jaki właściwie przeżyłam straszny dramat.

- No dalej, opowiadaj. Jestem potwornie zmęczona, a jutro jest przecież wycieczka. Chciałabym, się wyspać. Co jest nie tak z tym nowym facetem twojej mamy?

Wzięłam głęboki oddech. Ok. Niech się dowie.

- To nasz nauczyciel - powiedziałam niemal bezgłośnie.

- Chyba nie Karzelek Titelitury? - Kati nazwała ten koszmar imieniem, które jej zdaniem mogło usprawiedliwić mój stan.

Pokręciłam głową.

- To Pit Winter!

- Nie! - Niespodzianka mi się udała. - To super!

Spojrzałam na Kati. Wydawało się, że naprawdę się z tego ucieszyła.

Zachwycona zawołała:

- To wspaniale! Można ci pozdrościć. Myślisz, że coś im z tego wyjdzie?

Moje zakłopotanie sięgnęło zenitu. Ani odrobiny współczucia, żalu, zero

wątpliwości, żadnych uprzedzeń... tylko czysta radość. Nie mogłam tego pojąć.

- Nie uważasz, że to dziwne? - spytałam ostrożnie.

- Dziwne? Dlaczego dziwne?... No, jest to trochę niezwykle, ale absolutnie na czasie. Przecież tobie on też się podoba.

No właśnie. Było jasne - nie przyszło jej do głowy, że czułam do Piwiego coś więcej niż zwykłą sympatię.

Ale ja go kocham! - miałam ochotę wyrzyczyć jej to w twarz. Przecież ty nie masz o niczym ojęcia! Na twoich oczach rozgrywa się wielka, antyczna tragedia, a ty tego nawet nie zauważasz? Kocham faceta mojej mamy! I na dostatek on jest moim nauczycielem! Czy ty nie masz nawet odrobiny emocjonalnego współczucia?! Niedługo rzucę się do wody albo wypiję jakiś kielich trucizny, albo skoczę z wieżowca... zrobię coś, co uwolni mnie od sytuacji absolutnie nie do zniesienia i nie widziałam w tym całym zamęcie żadnego dramatyizmu. Przede wszystkim nie mogłam pojąć, dlaczego nie zjadłam z nimi kolacji i dlaczego nie chcę wziąć udziału w wycieczce.

- Powiem, że jestem chora - powiedziałam, wzdychając. Bo jak mogłam spojrzeć mu w oczy po tym, co się stało?

- Niby dlaczego? Moim zdaniem wcale nie robisz dobrze. Przecież tak się cieszyliśmy na tą wycieczkę. Nie jesteś ciekawa, jak wygląda gospodarstwo Markusa?

Ja? Ciekawa gospodarstwa Markusa? In mnie wcale nie interesował! To znaczy, chyba nie. Ostatnio trochę się zainteresowałam tym, jak żyje. Zaskoczył mnie zadziwiającymi cechami charakteru, których się po nim nie spodziewałam. No i razem odkryliśmy sabotaż naszej hodowli muszek. Nie był wcale taki zły, jaki kiedyś myślałam. Był całkiem pomocnym kimblem.

Ale co to znaczyło wobec zgliszczy mojej pierwszej miłości?!

- Prześpij się z tym! - poradziła Kati i wyjęła ze swojej skrzyni indyjską koszulę nocną. - Jutro świat będzie wyglądał inaczej!

I rzeczywiście tak było.

Przemogłam się i napisałam SMS-a do mamy - w końcu ponosiła najmniejszą winę za to zamieszanie. Potem zasnęłam, wsłuchując się w cichutkie pochrapywanie Kati, które wywołało niemal hipnotyczne działanie.

Mama Kati obudziła nas rano herbatą, a kiedy przyszyliśmy do stołu, stało na nim najpyszniejsze śniadanie, jakie kiedykolwiek w życiu widziałam. Upieczone w domu bułeczki, rogaliki wszelkich kształtów, jajka, ser, jogurt, twarożek... wszystko ładnie udekorowane, tak jak kiedyś u nas na niedzielnym porannym przyjęciu. Poczułam, jak gdzieś we mnie schodzi słońce. *The bright side of life!* Jakie zadowolenie wnosiły proste radości życia! I jak pięknie było się im poddać, nie myśląc o niczym innym, jak tylko o aksamitnym smaku gorącego kakao na języku, chrupiącej między zębami bułeczce, jeszcze płynnym żółtku na łyżeczce, aromacie świeżo zaparzonej kawy, który mieszał się z zapachem róż w angielskim wazonie.

Nie byłam wesoła, nie, na pewno nie, ale nie chciało mi się już wyć. Dałam się ponieść. Kati zajęła się wszystkim i jej niesamowita mama mi matkowała. Nasypały mi musli do miseczki, pokroiły owoce, posmarowały bułeczkę i postawiły nawet solniczkę obok jajka. Ojciec Kati dolewał mi kakao i podsunął szklanekę świeżo wyciśniętego soku pomarańczowego. To było śniadaniowe niebo.

Potem Kati zadzwoniła do mojej mamy i powiedziała jej, co potrzebowałam do ubrania, i mama rzeczywiście przyniosła mi rzeczy w drodze do pracy.

Kiedy podawała mi w drzwiach reklamówkę z ciuchami, spojrzała na mnie dziwnie. Jakoś niepewnie i badawczo. Co też oni sobie wczoraj o mnie naopowiadali?

Nie, nie pojedę na tę wycieczkę. Nie będę mogła spojrzeć mu w oczy, nie zapadając

się pod ziemię!

Jakby czytając w moich myślach, powiedziała:

- Jedź spokojnie. Pitem się nie przejmuj. - I jakby czując się winna, dodała: - Naprawdę myślisz, że cię skompromituję w oczach twojego nauczyciela? To nie moja wina, że się w nim zakochałam.

Wyrwałam jej torbę z reki, mruknęłam:

- Już dobrze... - i szybko zamknęłam drzwi, żeby niepotrzebnie nie przedłużać rozmowy.

Nic, ale to nic nie załapała.

Już niemal znowu się rozmyśliłam i nie chciałam jechać na wycieczkę, ale Kati obstawiała twardo prz swoim i zagroziła mi nawet, że przestanie się ze mną przyjaźnić, jeśli nie nauczę się oddzielać szkoły od życia prywatnego, jak to dramatycznie ujęła.

- Nie sądzisz chyba, że Pit Winter w jakikolwiek sposób będzie okzywał, że coś go łączy z twoją mamą. No dalej! Jeśli ty będziesz się zachowywać normalnie, to on też!

Poddałam się swojemu losowi.

ROZDZIAŁ ÓSMY: Pocałunek konia

Przed szkołą było takie zamieszanie - w powietrzu wisiała gorączka predwyjazdowa - że nie widziałam wcale Piwiego. Rzucił mi tylko przyjazne:

- Wypałaś się? - Na szczęście nie musiałam odpowiadać. A kiedy wreszcie wszyscy wpakowali się już do autokaru, zaczęło się.

Zdobyłam miejsce pod oknem i chciałam się właśnie trochę zdrzemnąć, kiedy dosiadła się do mnie Hanna. Było dla mnie jasne, że, znając jej notoryczną ciekawość, mogłam zaponieć o nadrobieniu zaległości w spaniu.

- Spałaś u Kati? - rozpoczęła przesłuchanie.

Kiwnęłam głową.

- Co tam Kati opowiadała o twojej mamie i Picie Winterze?

Czy ona nie mogła się przymknąć? Najlepiej niech sobie wypożyczy mikrofon i nada oficjalny komunikat!

- Możesz jeszcze głośniej?! - objechałam ją ostro.

- O, przepraszam - kontynuowała szeptem. - To fascynujące! Ale z ciebie szczęściara!

Ja? Szczęściara? Pomyłka. Spośród wszystkich najędzniejszych stworzeń na świecie to ja wymagałam największego współczucia!

Hanna musiała to chyba zauważyć, bo przyjrzała mi się wnikliwie, pokręciła głową i powiedziała:

- Jakos nie wyglądasz wcale na szczęśliwą. Coś między nimi nie gra?

- Gra, gra, co ma nie grać?

- Ale z tobą jest coś ino tak, nie sprawiasz wrażenia, jakbyś się cieszyła, że twoja mama i Pit Winter są ze sobą. Zawsze myślałam, że on ci się podoba.

Znowu musiałam syknąć "Pst!", bo Vanessa, która siedziała obok, zezowała w naszym kierunku z nieukrywaną ciekawością. Gdyby wiedziała, o czym mówimy, te krowie oczy wylazłyby jej z orbit!

- Porozmawiamy później! - powiedziałam do Hanny, bo z niewyjaśnionych powodów znowu łzy stanęły mi w oczach i coś mnie ścisnęło w gardle. Jeśli u Markusa jest jakiś staw dla kaczek, to do niego skocz! Kum, kum!

Piwi, który siedział z przodu obok kierowcy, dorwał się do mikrofonu i powitał nas.
- Bardzo cieszę, że Markus tak spontanicznie wyraził gotowość pokazania nam gospodarstwa swojego ojca. Dzięki temu praktycznie pogłębimy temat z biologii "Zwierzęta domowe". Najważniejsza będzie naturalna hodowla koni. Jak mi powiedział Markus, w ostatnich dniach urodziły się dwa źrebaki.

- Jakże to słodkie! - wrzasnęła Vanessa na cały autobus, ściągając wzork Piwiego na nasz rząd. Zsunęłam się w dół i schowałam za oparciem sąsiada z przodu.

Piwi wygłosił jeszcze kilka nieistotnych zdań, dostał brawa, a potem kierowca włączył jakąś odjazdową muzyczkę i chłopaki od razu zaczęli wydzierać się na cały głos.

- Jak dojedziemy na miejsce, będę miała głowę jak dynia! - jęknęłam i pękłam rękami znaczny obwód mojej głowy. Ale Hanna też chciała się dzisiaj zabawić, bo tylko się uśmiechnęła pod nosem i powiedziała:

- Dziewczyno, dalej, wyrzuć z siebie to, co cię gryzie! Dzień jest zbyt piękny, żeby go zrujnować jakimiś drugorzędnymi troskami.

Drugorzędnymi troskami! Ale tekst. Skąd ona to wytrzasnęła? To nie były jej słowa. Poza tym myliła się: moje troski nie były drugorzędne! To były bardzo ważne troski, dotyczyło mojej egzystencji, a jednocześnie kluczowego pytania całej ludzkości: czy życie umiera, gdy umiera miłość?

- *Tylko miłość pozwala nam przeżywać... dam-dam... piękne dni w świetle słońca... dam-dam...* - z głośników rozlegała się muzyka. Znowu pasowało.

Westchnęłam głęboko. Życie było okrutne.

Pół godziny później dotarliśmy do zabitej dechami wioski, na której skraju miał gospodarstwo Markus ze swoim ojcem. Przy czym nazwa ta niezupełnie odpowiadała rzeczywistości. To nie było biedne, podupadłe gospodarstwo rolne, które tylko dzięki dotacjom unijnym jakoś trzymało się przy życiu. To był raczej majątek ziemski. Dom zbudowano nie z gliny i cegieł, ale z piaskowca, z pojazdem, schodami zewnętrznymi, kutymi kratami i kulami bukszpanu. Stylowy, jak powiedziałyby mama. Plac przed odmem otaczały dwa wydłużone budynki, w których prawdopodobnie mieściły się stajnie. Niektóre górne połówki pomalowanych na zielono drzwi były otwarte. Wyglądały z nich końskie łby i patrzyły na nas melancholijnie brązowymi oczami. Jeden z koni parsknął i dało się słyszeć powitalne rżenie.

- To jest Sarabende - Markus, który zbiegł po schodach, kiedy przyjechaliśmy, przedstawił konia. - Pochodzi z hiszpańskiej szkoły jazdy, w jej żyłach płynie krew araba. To najdzikszy i najdroższy koń w naszej hodowli.

- Mogę na nim pojeździć, Markusie? Proszę, pozwól mi jej dosiąść. - Vanessa od razu zaczęła mu wiercić dziurę w brzuchu, kiedy to usłyszała. Uwiesiła się na jego ramieniu i tylko po to, żeby ją spławić, Markus powiedział:

- Zobaczymy, czy starczy nam czasu. Moglibyśmy później trochę je rozruszać.

Vanessa potraktowała to jako obietnicę, puściła jego ramię, co skwitował westchnieniem ulgi, i pobiegła do stajni. Tam pogłaskała Sarabende po chrapach i powiedziała biednemu zwierzęciu do ucha:

- Słyszałaś? Pojedziemy razem na przejażdżkę. Czy to nie cudownie?

Klacz nerwowo zastrzygła uszami i potrząsnęła łbem. Zinterpretowałam to jako jednoznacznie negatywną reakcję. Vanessa oczywiście nie. Podekscytowana tańcowała po podwórzu i usiłowała podzielić się z Piwim swoim szczęściem.

Markus zatroszczył się także o mały posiłek, który przygotował na rustykalnymbufecie w nieużywanej stajni, gdzie najpierw się zebraliśmy. Vanessa od razu jak zwykle usadowiła się obok Piwiego.

- Czy Sarabende nie jest przepięknym koniem, panie Winter? - świergoliła. -

Rozumiem, że Markus pozwoli na niej jeździć tylko osobie z doświadczeniem. - Jeśli miała na myśli siebie, to jakoś nie mogłam sobie wyobrazić, żeby Markus właśnie jej pozwolił wsiąść na konia swojej zmarłej mamy. - Wie pan, że jeżdżę konno od ósmego roku życia? - nadawała dalej Vanessa. - A od trzech lat biorę nawet udział w turniejach...

W ten sposób znowu zeszła na swój temat. Piwi odwrócił się ze zgrozą i zaczął się rozglądać za innym rozmówcą. I znalazł... mnie.

Kiedy nagle spojrział porsto w moją stronę, a potem zaczął iść w moim kierunku, o mało nie wypadła mi z ręki bułka z metką. Odruchowo rzuciłam się do ucieczki, robiąc krok w tył. Koniec ślepiej uliczki. Stałam trochę z boku grupy, dokładnie pod ścianą stajnie. Z tyłu i po bokach były mury, a przede mną - Piwi. Ziemio, rozstąp się i pochłoń mnie!

Znowu nie nastąpiła żadna reakcja. Powinnam była poświęcić się intensywniej studiowaniu magii. Czar znikania mógłby okazać się pomocny w obecnej sytuacji.

Nie przeklinać - stawić czoło sytuacji! - moralizował mój głos wewnętrzny z lekcji religii. W tym wypadku było to proste. Gdzie nie ma możliwości odwrotu, tam nie ma możliwości o ucieczce!

Teraz, kiedy Piwi stał dokładnie przede mną, jego też chyba opuszczała odwaga. W każdym razie zrobił się nagle bardzo blady, a kiedy otworzył usta, wydobyło się z nich tylko nijakie:

- I co, smakuje?

Chyba mu odbiło! Serce mi prawie stanęło, bo podszedł do mnie tak zdecydowanie, i z drżeniem oczekiwałam ostatecznej rozmowy, a on nie wydukał niczego poza taką głupią uwagą.

Ale w porządku, chciał pogawędki, to proszę bardzo.

- Tak sobie - odparłam. - Nie mam dzisiaj rano specjalnego apetytu. - Bo ty mi go zepsuleś, chciałam mu złośliwie powiedzieć.

- Szkoda - stwierdził z żalem. - Ale może apetyt przyjdzie później, tutaj, na świeżym powietrzu.

- Wątpię - bąknęłam i gapiłam się na nadgryzioną bułkę z metką. Sama nie wiedziałam, dlaczego pozwoliłam, żeby Hanna mi ją wcisnęła.

Skarbnica tekstów Piwiego wydawała się być wyczerpana, a ja z zakłopotania nie mogłam skleić nic sensownego. Staliśmy tak naprzeciw siebie, a minuty płynęły. O nieba, ale to było okropne.

Właśnie kiedy myślałam, że już tego nie wytrzymam, usłyszałam wołanie Markusa:

- Panie Winter, panie Winter! Gdzie jest pan Winter? Chciałbym go przedstawić mojemu ojcu.

Piwi też to usłyszał. Odwrócił się ode mnie i zawołał:

- Idę! - I już go nie było.

Przez następne godziny udało mi się uniknąć jego bliskości. Staralam się utrzymywać między nami odległość dwóch, trzech metrów. Za daleko na prowadzenie rozmowy.

Markus naprawdę wspaniale zorganizował naszą wycieczkę. Po skromnym posiłku oprowadził nas wszędzie, pokazał nam budynki gospodarcze, magazyn paszy i sprzętu, stodołę. W jednym z pomieszczeń stały traktory, kosiarki i przetrząsacz siana.

Podczas całego tego oprowadzania Markus nie odstępował mnie na krok, wydawało mi się, że to mnie chce wszystko pokazać. Dlaczego, szczerze mówiąc, nie wiedziałam. Ale to nieokreślone wrażenie pozostało.

Na koniec Markus pokazał nam miejsce, w którym przechowywano siodła i

trzymamno konie.

Konie nigdy mnie specjalnie nie pociągały, ale kiedy zobaczyłam źrebaczki leżące na słomie, wzruszyła mnie ich delikatność. Reszta ludzi już dawno była na dworze, a ja dalej przyglądałam się, jak ssą mleko matek.

Markus poszedł z kilkoma osobami do pomieszczenia obok po siodła i uprząż, bo Piwi poprosił go, żeby nam pokazał, jak należy fachowo osiodłać konia. Oczywiście Vanessa od razu zaoferowała się jako asystentka.

Nigdy w życiu nie będę jeździć konno, więc mnie to szczególnie nie interesowało i zostałam jeszcze trochę rpyż źrebaczkach. Kiedy koń będzie już osiodłany i Vanessa zacznie pokazywać swoje umiejętności, zawsze zdążę wyjść i popatrzeć.

W tej chwili czułam się pusta w środku, byłam w martwym punkcie. Zaczęłam odczuwać stres i zmęczenie i wykończona położyłam się na słomie. Zamknęłam oczy. Jak dobrze.

Ktoś usiadł obok mnie.

- Hanna? - spytałam, nie otwierając oczu. Któż jak nie jedna z moich przyjaciółek mógłby szukać mojej bliskości.

- Milu, to ja, nie Hanna...

No, usłyszałam to już w pierwszym dźwięku jego głosu. Otworzyłam oczy i chciałam uciec, ale przytrzymał mnie mocno za ramię i pociągnął z powrotem na słomę.

- Zabierz ode mnie te ręce! - fuknęłam na niego. W zdenerwowaniu zwróciłam się do niego na ty.

- Tylko wtedy, jeśli zostaniesz. Chcę się dowiedzieć, co się właściwie dzieje. Dlaczego przed mną uciekasz? Dlaczego zachowujesz się jak kapryśna nastolatka? Nie znam cię takiej. Chcesz robić konkurencję Vanessie?

Spojrzałam na niego ponuro. Cały czas trzymał mnie za ramię. Jego uścisk był bolesny. Nie chciał mnie za nic wypuścić. No dobrze, wyjaśnijmy sobie sytuację. Tutaj przynajmniej nikt z klasy nas nie zobaczy, a Vanessa, która zawsze lepiała się do Piwiego, teraz była zajęta końmi. Nie było niebezpieczeństwa, że nagle pojawi się na horyzoncie.

Ale najpierw niech zabierze ode mnie łaskawie łapy.

- Natychmiast mnie puść albo zacznę krzyczeć o pomoc! Jak myślisz, co się wtedy stanie?!

- Mogę sobie wyobrazić - mruknął i osłabił chwyt. - Vanessa wpadnie tu i będzie prosić, żeby mogła się z tobą zamienić!

Popatrzyłam na niego wściekła. Chyba robił sobie żarty!

Zauważył moje zabójcze spojrzenie, bo zmrużył swoje błękitne oczy. To, co powiedział potem, wcale nie brzmiało jak żart.

- Twoja mama jest bardzo smutna. Ja też nie mogę zrozumieć, dlaczego masz coś przeciwko naszej pezyjażni. Dotąd zakładałam, że mnie lubisz, tak bardzo, że szukasz nawet mojej bliskości. Właściwie wcale się nie interesujesz muszkami i prawami dziedziczenia, zgadza się? Nie mogłem się tak co do ciebie pomylić.

Mówiąc te słowa, puścił mnie, a ja po prostu powinnam wybiec stamtąd i nic by się nie stało. Ale teraz siedziałam jak skamieniała.

Nie chciałam bliskości, nie jego, nie teraz, ale jakoś nie mogłam się ruszyć.

- Lubisz mnie, prawda? Więc dlaczego nie chcesz, żebym był z twoją mamą? To mógł być piękny wieczór wczoraj... Twoja mama tak bardzo się postarała i...

- Moja mama, moja mama... przestań ciągle o niej mówić! Lubisz mnie tylko dlatego? Czy ja sama nie jestem nic warta? Ja też chcę być kochana! I nie tylko jako czyjś córka.

Nie chciałam tego powiedzieć, ale kiedy tak siedzieliśmy na belach słomy obok

siebie i dzielił nas dystans nie do pokonania, poczułam ten ból, całe rozczarowanie wczorajszego wieczoru, które znowu we mnie wezbrało.

Chciałam leżeć w jego ramionach, to dla mnie miał być czuł, to mnie miał uszczęśliwiać swoją miłością, a nie moją mamę!

Łzy płynęły mi po tawrzy i szlochałam:

- Ja... ja myślałam, że to mnie kochasz... Przez ten... ten... wiersz Heinego... bo w ten sposób odpowiedziałeś na mój list...

W tym samym momencie, kiedy mi się to wymknęło, chciałam cofnąć zeznanie, ale było już za późno.

- To ty napisałaś ten list? - spytał Piwi, oszołomiony. - Myślałem, że Vanessa...

Usłyszeć jej imię i zerwać się z miejsca było jedną chwilą. Moje oburzenie nie znało granic. To był już szczyt. Jak on mógł skojarzyć mój list miłosny, w którym dopieściłam każde słowo, który napisałam całym sercem, ten cenny fragment miłosnej poezji... jak on mógł skojarzyć go z tą głupią krową Vanessą! Jak mógł zakładać, że to ona go napisała!

Nie wiedziałam już, co robię, chciałam tylko uciec stąd, jak najdalej od niego. Wybiegając ze stajni, zderzyłam się w drzwiach z Markusem, który trzymał za uzdę Sarabende i właśnie chciał jej dosiąść. Vanessa stała obok z innym koniem.

Nie zdając sobie sprawy z tego, co robię, wyrwałam mu z ręki wodze, natychmiast odepchnęłam go na bok i wdrapałam się nieprofesjonalnie, ale skutecznie na siodło. Koń ruszył z miejsca, nie musiałam nawet nic mówić. Musiałam się tylko trzymać i jakoś włożyć drugą stopę w strzemień.

Ktoś krzyczał za nami:

- Stój, Mila! Prrr, Sarabende, stój, zatrzymaj się!

To był Markus, którego kompletnie zaskoczyłam swoją błyskawiczną akcją i który z przerażeniem patrzył, jak znika najlepszy i najdroższy koń jego ojca!

Jego obawy nie były bezpodstawne. Albo ja złamię kark, albo koń, ale najbardziej prawdopodobne było, że na koniec tej piekielnej przejażdżki oboje skończymy w ten sposób. Będzie to wzruszający widok - jednoczesny pogrzeb jeźdźcy i konia. Pastor będzie przemawiał nastrojowo, a Piwi znowu wyleje kilka łez przy zachodzie słońca.

Ale do tego było jeszcze daleko. Ten diabelski koń pędził ze mną po polach i nawet nie myślał o łamaniu karku albo przynajmniej nogi, żeby ten galop wreszcie się skończył. Mam sobie dać spokój? Czy po prostu zsunąć się bokiem na ziemię?

Nieeee, biorąc pod uwagę całe moje pragnienie śmierci, były lepsze sposoby pożegnania się z życiem, nie musiałam sobie w tym celu łamać dwa razy wszystkich kości i trzy razy karku.

Nagle zapaliła się we mnie iskierka chęci przetrwania. Czy nie mogłam spróbować nakłonić konia, żeby się zatrzymał?

- Prrr! - zawołałam. - Prrr!

Od mojej ostatniej przejażdżki na kucyku w cyrku w języku koni chyba coś się zmieniło. Zwierzę zaczęło biec szybciej zamiast wolniej, a o zatrzymaniu się nawet nie było mowy.

- Sarabende - zaklinałam ją - zatrzymaj się. Proszę, proszę...

Czy Vanessa mogłaby ją nakłonić do zatrzymania się? Na pewno, uczyła się tego od lat. A ja! Co we mnie wstąpiło, że dosiadłam tego diabelskiego konia? Nawet Piwi nie był tego wart!

Usłyszałam za sobą wołania i tętent kopyt, ale nie miałam odwagi się obejrzeć, natychmiast straciłabym równowagę, którą z takim trudem utrzymywałam.

Ale okrzyki zbliżały się coraz bardziej. Teraz rozpoznałam głos Markusa wołającego do mnie:

- Mila, trzymaj się! Trzymaj się! Już jadę!

Krótko potem dogonił mnie. Usiłował się ze mną zrównać.

Przytuliłam głowę mocno do grzywy klaczy i dlatego widziałam tylko fragment Markusa. Ale to wystarczyło, żebym nagle bezsilnie powierzyła swój los w ręce tego chłopaka.

- Ratuj mnie - błagałam go - spraw, żeby Sarabende się zatrzymała!

Albo uważał się za Jesse Jamesa, albo za Indianę Jonesa. Podjechał nagle bardzo blisko mnie obok łba Sarabende, wychylił się daleko i złapał jej uzdę.

Potem nastąpiło szarpnięcie, Sarabende się zbuntowała i gniewnie potrząsając łbem, zrzuciła go na ziemię. Jednocześnie grzywa wyslizgnęła mi się z rąk. Nie byłam już w stanie się utrzymać i zjechałam z siodła na pole, tyłem przez koński zad. Lądowanie było niedelikatne i bolesne, ale to nic w porównaniu do Markusa. Leżał w dziwnie wyrzywionej pozycji kilka metrów przede mną. Na czworakach, jeszcze całkowicie oszołomiona, podpełzłam do niego.

Leżał na brzuchu i się nie poruszał.

Nie żyje! - przemknęło mi przez myśl. W tym momencie ogarnęło mnie niekontrolowane drżenie. Przewróciłam go na plecy. Na czole miał otwartą, mocno krwawiącą ranę. Prawdopodobnie trafiło go przednie kopyto Sarabende, kiedy upadł jej pod nogi.

Rozejrzałam się dookoła. Gdzie ona się podziała? Nie było po niej ani śladu. Miejmy nadzieję, że należy do koni, które same wracają do swojej stajni.

Markus jęknął cicho. To znaczyło, że nie był martwy i odzyskiwał przytomność. Nachyliłam się nad nim.

Ogarnęła mnie fala współczucia, kiedy spojrzałam na jego ranę na czole. Wydawało się, że kopyto tylko go musnęło, jednak rana krwawiła dość mocno. Urządził się tak, bo chciał mnie uratować! Z wdzięcznością odgarnęłam mu włosy z czoła.

- Markus... Markus, słyszysz mnie? To ja, Miła. Jesteś ranny, co mam zrobić?

Na moment otworzył oczy, spojrzał na mnie zakręcony i ułożył usta w jakiegoś niezrozumiałego słowa.

Potem z powrotem zamknął oczy i głowa opadła mu na bok.

- Nie, nie, nie! Nie trać przytomności! Markus, nie! - krzyczałam w panice, ale on już mnie nie słyszał.

Strasznie się martwiłam, bo utrata krwi była znaczna. Musiałam wezwać pomoc. Odruchowo zaczęłam szukać komórki, ale jej nie było. Widocznie odpięła mi się od paska podczas tego galopu. Właśnie teraz!

Wstałam i rozejrzałam się dookoła. Jeśli żywiłam nadzieję, że ktoś pojechał za Markusem, to się rozczarowałam. Jak okiem sięgnąć, nie było żywej duszy. Jakies dwadzieścia metrów dalej stał tylko koń Markusa i skubał sobie trawę na skraju pola.

Gdzie oni wszyscy byli? Ojciec Markusa i Piwi, i ludzie z mojej klasy, Vanessa, genialna amazonka? Dlaczego nie pojechała za Markusem?

Musiałam zatamować krwawienie. Nie robi ci się niedobrze, wmawiałam sobie. Nie może ci się zrobić niedobrze. Uklękłam obok Markusa na ziemi. Dalej się trzęsąc, zdjęłam bluzę, potem koszulkę a w końcu podkoszulek. Koszulkę szybko założyłam z powrotem. Zwinęłam bluzę w rulon, podścieliłam Markusowi pod głowę i ułożyłam go w bezpiecznej pozycji. Cieszyłam się, że przed wyjazdem na narty brałam udział w kursie pierwszej pomocy. Inaczej nie miałabym zielonego pojęcia, co trzeba zrobić, i wpadłabym w panikę.

W końcu złożyłam podkoszulek kilka razy i przyłożyłam opatrunek do rany na głowie. Trochę pomogło.

Ale co teraz? Tutaj nie mógł leżeć. Jak mu pomóc? Mam spróbować dotrzeć jego konia i pojechać po pomoc? Nie, to niemożliwe! Byłam w tym momencie gotowa zrobić dla niego wszystko, no, w każdym razie prawie wszystko, ale nikt mnie nie

zmusi, żebym wsiadła na konia. I tak by mnie zrzucił i jeszcze sama sobie złamię kark. W ten sposób nikomu nie pomogę.

Markus musiał mieć przy sobie komórkę. Jasne, dlaczego od razu na to nie wpadłam? Poszukałam w kieszeniach jego spodni. Była. O, kurczę! Wyłączona. Było jasne, że bez numeru PIN niczego nie zrobię. Czy nie mógłby na moment odzyskać przytomności? Przynajmniej na chwilę, tylko żeby podał mi numer!

Zaczęłam ryczeć. Czy nie mogłam nic zrobić? Musiałam tu siedzieć i patrzeć, jak Markus umiera? Skąd mogłam wiedzieć, jak poważne były w rzeczywistości obrażenia?

- Obudź się - wrzasnęłam na niego zrozpaczona. - obudź się, idioto! Podaj mi wreszcie ten durny PIN! Żebym mogła cię uratować!

Po rozpaczy przyszło poczucie winy.

Przecież to przez mnie leżał na tym polu, nieprzytomny! Bo chciał mnie uratować przed tą rozwścieczoną szkapą! Ale czy prosiłam go o pomoc? Tak, prosiłam!

- Ale nie oczekiwałam, że będziesz zgrywał bohatera! Harrison Ford w takich scenach jest dublowany przez kaskadera. Nie trzeba go od razu naśladować! Słyszysz? - ochrzaniłam go ze łzami w głosie. - Nikt od ciebie tego nie żądał, żebyś dla mnie udawał bohatera.

- Nie? - szpenął nagle z zamkniętymi oczami. - Chyba coś nie tak zrozumiałem. Ale dobrze się przy tym bawiłem.

Bawiłem? Co on bredził? Bezcelność. Ale wszystko jedno, odzyskał przytomność. Nie można było teraz tracić czasu na gadanie.

- Markus, twoja rana nie wygląda za dobrze. Sarabende musiała cię walnąć kopytem w czoło. Straciłeś dużo krwi. Musisz mi podać swój PIN, żebym mogła przez komórkę wezwać pomoc.

Markus otworzył trochę oczy. Szukał mojej ręki.

- Miła, gdzie są konie?

- Nie ma. To znaczy Sarabende nie ma. A twój pasie się na skraju pola. Ale teraz to nieważne. Podaj mi PIN!

Wydawał się nie rozumieć, czego od niego chcę.

- Wezwę przez telefon pomoc. Proszę, powiedz, jaki jest twój PIN! - Te ostatnie słowa wykrzyczałam, taka byłam zrozpaczona.

Kosztowało go to dużo wysiłku, ale podniósł się.

- Musisz wrócić konno i wezwać pomoc - powiedział cicho, jakby wcale nie słyszał mojego pytania. - Weź Ruby, to bardzo łagodna klacz. Ani trochę krwi araba. Znajdzie sama drogę do gospodarstwa. Uda ci się. Powiedz mojemu tacie, że leżę na łące legend. Niech weźnie dżipa. Kovham cię.

- Ale.. - Cokolwiek chciałam powiedzieć, nie docierało to do niego, bo znowu stracił przytomność. Wstałam i spojrzałam najpierw na niego, potem na tę cholerną, beużyteczną komórkę. Nacisnęłam klawisz włącz. Podaj PIN - ukazało się na wyświetlaczu. Ale było tam coś jeszcze, małymi literkami w rogu: SOS. Dlaczego wcześniej na to nie wpadłam? Wiele komórek ma taki przycisk. Nacisnęłam. Pogotowie? Tak, nie. Nacisnęłam Tak. Markus był uratowany. Wprawdzie leżał jeszcze na polu, ale wkrótce nadejdzie pomoc. Kucnęłam obok niego.

- Uda się! - powiedział i ostatkiem sił. - Kocham cię.

Nie mógł tak myśleć, nie na serio. Między nami nie było przecież nic, co by usprawiedliwiało te słowa. Z pewnością w ostatnich tygodniach zmieniłam o nim zdanie, sądziłam, że odkryłam jego poważną twarz, której istnienia wcześniej nie podejrzewałam. Jego urok nie był już taki sztuczny, kiedy mówił o swojej mamie, odbierałam to jako dowód zaufania. Którego wcale nie chciałam, jeśli miałam być

szczerza. Nie byłam nim zainteresowana. Dla mnie istniał tylko Piwi.

To straszne rozczarowanie, jakie właśnie przeżyłam, i żalony widok Markusa mieszały się we mnie, tworząc uczucie okropnego zwątpienia.

Wystraszył mnie warkot silników. Jakiś dżip zatrzymał się na skraju pola.

Tato Markusa wyskoczył z samochodu i podbiegł do nas. Za nim biegła druga postać. Piwi!

- Zaraz będzie helikopter pogotowia! - poinformował mnie tato Markusa i zajął się raną syna.

Kiedy robił mu prowizoryczny opatrunek, Pit Winter podszedł do mnie. Kiedy przekazałam odpowiedzialność za Markusa w inne ręce, znowu wzrosła moja złość na Piwiego.

- Cieszę się, że nic ci się nie stało. Mogłaś sobie przecież złamać kark podczas tej szaleńczej jazdy - powiedział Piwi.

Sama o tym wiem, pomyślałam rozdrażniona, ale było mi to obojętne. Przypisywać mój list miłosny Vanessie! To był szczyt tego, co człowiek może znieść! Jak się zastanowiłam, ten wiersz Heinego wcale nie był wyznaniem miłosnym skierowanym do mnie, ale ironiczną odpowiedzią pod adresem Vanessy. Po prostu zaplanowana kpina z moich głębokich uczuć! O których naprawdę nie miał żadnego pojęcia. W każdym razie z miłością z jego strony nie miało to nic wspólnego.

Westchnęłam i gramoląc się, wstałam.

Stał jakoś tak bezradnie na polu.

- Hej, Milu, tak mi przykro z powodu twojego listu... nie wiedziałem... naprawdę nie przypuszczałem... nigdy bym nie... - zaczął się tłumaczyć.

- Niech pan da spokój - odparłam opanowana. - To była tylko głupia fascynacja, rozumiałam odpowiedź. Dobrze wiedzieć, że wielcy niemieccy poeci też klecili taki kicz.

Roześmiał się krótko.

- Za analizę tekstu dostajesz u mnie z niemieckiego celujący!

Potem wylądował śmigłowiec pogotowia i wyskoczyła z niego lekarka. Zbadała Markusa i uspokoiła nas.

- Wprawdzie stracił dużo krwi, ale to tylko rana cięta, trzeba będzie założyć szwy. Kość jest nienaruszona. Na pewno po tym "pocałunku" konia na wstrząśnienie mózgu, ale poza tym wyszedł z tego bez szwanku. Na wszelki wypadek zostawimy go na noc na intensywnej terapii, jutro może go pan odwiedzić.

Pilot włączył silnik i śmigło zaczęło się kręcić z ogłuszającym hałasem. Potem helikopter uniósł za sobą chmurę kurzu i zabrał Markusa i jego ojca do szpitala.

Pit Winter i ja wróciliśmy dżipem na gospodarstwo. Jazda trwała całą wieczność, w tym czasie zastanawiałam się nad tym, co powiedział Markus w stanie wyczerpania. To niemożliwe, żeby miał mnie na myśli. Brzmiało to tak poważnie, całkiem inaczej niż jego sotychezasowe ironiczne uwagi i wredne teksty.

Zanim dotarliśmy do gospodarstwa, Pit Winter jeszcze raz się do mnie odezwał:

- Milu, proszę, nie bądź na mnie zła. Przykro mi. Naprawdę bardzo się lubię i kocham twoją mamę. Nie sądzisz, że możemy jakoś rozwiązać tę sprawę?

- W zasadzie nie mieszam się do facetów mamy - wycedziłam chłodno. - Jeśli nie powie jej pan o mojej... mojej uczuciowej pomyłce, nie widzę problemu. W końcu już niedługo nie będzie pan moim nauczycielem.

Piwi chyba odetchnął z ulgą.

- Tak, za cztery tygodnie są wakacje. Po egzaminie nauczycielskim na pewno pójde do innej szkoły.

- No to wszystko w porządku - powiedziałam wspaniałomyślnie i miałam nadzieję,

że mój fałszywy uśmiech nie zmyli go i ukryje żal, jaki nosiłam w sercu. Gdybym miała pod ręką zachód słońca i morze, wyplakałabym się jak Heine i nie uważałabym to za kiczowate, ale naprawdę tragiczne.

Po tym nieprzewidywanym przebiegu naszej wizyty Pit Winter zebrał na podwórku rozproszonych uczniów i przez komórkę wezwał autokar.

W drodze powrotnej wszyscy byli trochę zdenerwowani, także moje przyjaciółki chciały oczywiście wiedzieć, dlaczego jak wariatka wybiegłam ze stajni i rzuciłam się konia, i co się właściwie stało Markusowi. Jakoś się z tego wywyinęłam.

Vanessa nie miała naturalnie nic innego do roboty, tylko pouczać wszystkich naokoło, jak nie powinno się postępować z końmi. Przynajmniej u Knollego nałapała dużo punktów. Ale niech jej będzie, punkty ujemne zebrała w większej ilości następnego dnia, kiedy Piwi wyjaśniał z nami obiema sprawę sabotażu. Szkoda tylko, że musiałam zrezygnować z Markusa jako świadka!

Wieczorem czekała mnie rozmowa z mamą. Jeszcze nie zdecydowałam, jak dalece mam ją we wszystko wtajemniczyć. W końcu nie chciałam obciążać jej świeżego związku z Piwim. To, że kochał ją, a nie mnie, jednak nie było jej winą.

Tak więc postanowiłam po prostu nie mówić jej nic o mojej fascynacji Piwim. Jeśli sądziła, że było mi głupio, bo to był mój nauczyciel, to niech tak myśli. Jak ja się cieszyłam, że dotąd nikomu nie powiedziałam o mojej miłości do niego.

- Czy możesz mnie jutro zawieźć do Markusa do szpitala? - spytałam ją na koniec naszej rozmowy, ale ona pokręciła głową.

- Nie dam rady. Mam przez cały dzień robotę. Wiesz przecież, odkąd nie ma Tiny, nie mogę sobie pozwolić na utratę klientów.

- No to zatrudnij nową fryzjerkę.

- Masz rację, tak dalej być nie może, a w przyszłości będę potrzebowała więcej czasu dla ciebie i Pita.

Spojrzałam na nią z niedowierzaniem. Czas dla Pita - w porządku, ale dla mnie? To naprawdę nie było konieczne. Podobało mi się tak, jak było, a przecież mogło się zdarzyć, że ja niedługo będę potrzebowała czasu dla kogoś innego. Dlaczego przychodził mi do głowy właśnie Markus?

W końcu mama Kati zawiozła Hannę, Kati i mnie następnego dnia po południu do szpitala. Było trochę niezręcznie, że napadałyśmy Markusa od razu we trzy.

Przynajmniej leżał w jedynej na prywatnym oddziale. Ponieważ stały tam tylko dwa krzesła, na które od razu rzuciły się Hanna i Kati, nie pozostało mi nic innego, jak usiąść w nogach jego łóżka.

Kiedy moje przyjaciółki przekazały mi już życzenia szybkiego powrotu do zdrowia, Markus elegancko wyprosił je z pokoju, mówiąc:

- Idźcie do kiosku i przynieście mi kilka magazynów, bez czegoś do czytania jest tu strasznie nudno.

Wcisnął Hannie do ręki banknot i moim przyjaciółkom nie pozostawało nic innego, jak opuścić pokój z obskurną uwagą.

Kiedy już wyszły, zrobiło mi się nieswojo. O czym ja miałam z nim rozmawiać? Przyszły mi do głowy muszki.

- To było bezcelne ze strony Vanessy - stwierdziłam. - Pit Winter dzisiaj rano porządnie ją objechał i wyrzucił z projektu. Ale moje muszki przez to nie wrócą.

Markus też tak uważał.

- Jestem wściekły, że zrujnowała nasz eksperyment. Może się cieszyć, że na razie nie wpadnie w moje ręce. A miałem taką superwizualizację!

Przyznałam mu rację.

- Naprawdę umiesz to robić. Nie można tego jakoś uratować?
- Może będziemy mogli zaprezentować tylko wizualizację bez muszek. Musiałbym o tym porozmawiać z Pitem Winterem.
- Teraz najpierw wyzdrowiej - powiedziałam. - Pan Winter zostaje tylko do końca miesiąca. Ale wcześniej chce zakończyć projekt. Potem są wakacje, a po nich pani Kempinski wraca z urlopu macierzyńskiego.
- Szkoda, był naprawdę dobrym nauczycielem - żałował Markus. - Rozkręcił tę budę. Zaczynała mi sprawiać frajdę.
- Zgadza się - przytaknęłam - bez niego nie wzięłabym udziału w żadnym biologicznym projekcie.
- To byłaby wielka szkoda.
- Dlaczego?
- Bo wtedy bym cię tak dobrze nie poznał, i ty mnie też.

Milczał przez chwilę.

- Nie miałś o mnie przedtem zbyt dobrego zdania, no nie?

Roześmiałam się z jego otwartości.

- Tak!
- A teraz? Polepszyło się?

Uśmiechnęłam się pod nosem, pokręciłam głową i rzuciłam prowokacyjnie:

- Hm... może... to znaczy... skacząc na konia jak Indiana Jones, nie polepszysz sobie u mnie opinii. A już wcale, jeśli udając bohatera z bożej łaski, zaczynasz gadać od rzeczy...

Roześmiał się, trzymając się za głowę, która tkwiła w grubym opatrunku.

- Au, nie rośmieszaj mnie, bo moja biedna głowa nie wytrzyma takich wstrząsów.
- No dobrze, to na poważnie. Czy myślałeś, że umrzesz tam na polu?

Spojrzał na mnie zdziwiony.

- Dlaczego?
- Mówiłeś takie dziwne rzeczy.
- Dziwne rzeczy?
- Już nie pamiętasz? - To było typowe. Chłopak wyznawał mi miłość, a następnego dnia już o tym nie pamiętał. Wtedy, jak widać, nie był całkiem poczytalny.
- Nie powiedziałem nic dziwnego - przerwał moje myśli. Spojrzałam na niego rozczerowana. A więc rzeczywiście już po wszystkim.

Chyba wyczuł moje rozczerowanie, bo usiadł i nagle powiedział:

- Nie martw się, nie byłem aż tak kopnięty, żeby nie wiedzieć, co mówię. Ale nie żądaj ode mnie, żebym to teraz powtórzył. Masz rację, na polu naprawdę myślałem, że wybiła moja ostatnia godzina... - I z trochę ironicznym uśmiechem dodał: - ... a dlatego, że zawsze cię tylko denerwowałem, chciałem chociaż w ostatniej godzinie zrobić coś dobrego. Tylko dlatego ci to powiedziałem.

A więc jednak. Wiedziałam, że teraz się wycofa. Wcale mnie nie kochał. To znowu był jeden z jego głupich tekstów macho. Tak naprawdę było mi trochę tego szkoda. Popatrzyłam na niego smutno.

Spontanicznie złapał moją rękę leżącą na jego kołdrze. Po raz pierwszy jego dotyk nie był dla mnie niprzyjemny.

- Nie patrz tak smutno. To, co ci powiedziałem, chętnie jeszcze raz powtórzę. Ale w odpowiednim momencie i niekoniecznie w szpitalnym pokoju. Jest tu mało romantycznie, no i w każdej chwili mogą tu wparować twoje przyjaciółki.

Spojrzał na drzwi, potem szybko się nachylił i pocałował mnie delikatnie w policzek. W tych sprawach był niesamowicie wytrenowany. Znowu byłam strasznie zaskoczona i na pewno zrobiłam się czerwona jak burak.

Zakłopotana wyrwałam rękę. W pokoju było duszno i... za dużo uczuć unosiło się w powietrzu. Miejmy nadzieję, że teraz nie wejdą Hanna i Kati! Lepiej szybko wyjdę im naprzeciw. Tylko stąd zwać.

Wstałam. Musiałam się uspokoić.

- A kiedy twoim zdaniem nadejdzie właściwy moment? - spytałam niepewnie.

- Kiedy otrzymam od ciebie prawidłową odpowiedź.

- Prawidłową odpowiedź? A jak ona brzmi?

Uśmiechnął się szeroko.

- No oczywiście, że ty też mnie kochasz!

Przełknęłam ślinę. Ja mam kochać jego? Co za perspektywa! Mila & Markus!

W otwartych drzwiach odwróciłam się do niego jeszcze raz.

- Naprawdę sądzisz, że ten dzień kiedyś nadejdzie?

Jego śmiech świadczył o absolutnej pewności siebie. Z dawną beczelnością powiedział:

- Bankowo!